Numer 38. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 16 Września 1928



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

ZAKŁAD POGRZEBOWY

»AETERNITAS«

Kraków, ulica Mikołajska L. 14.

Rok założenia 1892. Telefon 40-47.

obecnie pod nowem kierownictwem urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych, czyniąc dla mniej zamożnych ustępstwa. Udziela kredytu. Przeprowadza ekshumację i przewozy zwłok do wszystkich krajów. Posiada na składzie **wielki wybór trumien i wieńców** sztucznych oraz metalowych

Dom muzyczny

Ignacy Cypres





Kraków, ul. Szewska L. 13 Rol.

wysyła mandoliny włoskie po 26—30 zł., koncertowe ozdobne 35—45 zł., skrzypce szkolne ze smyczkiem 22 złote koncertowe 30, 40 i 50 zł., klarnety 8 klap 38 zł., 10 klap 45 zł. 12 klap 50 zł., gitary koncertowe 40—45 zł. Kornety 120 zł, Harmonje na 2 registry 29 zł., Wiedeńskie 1-rzędowe 38 zł., dwurzędowe 55 zł. Nikl. „Gre Roskopf" patent. z łańc. 13 zł., nikl. płaski zegarek słynnej marki „Enigma" 22 zł., budzik 14 zł., brzytwy „Solingen" po 6, 8 i 10 zł., maszynki do włosów 9—12 zł., djamenty do szkła po 7, 9 i 12 zł. Cennik ilustrowany zegarków i instrumentów darmo i opłatnie.

Płótna lniane i pół-lniane na wszelkie bielizny: dymki, dreliszki, obrusy, ręczniki, ścierki, płócienka kolorowe, Kamgarny, Szewioty, Cajgi bardzo trwałe itp. lepsze wyroby tkackie, poleca:

Józef Jórasz PRZEMYSŁ TKACKI Korczyna

pow. Krosno, woj. lwowskie.

(Próbki, druki przesyła po otrzymaniu 2 zł. znaczkami poczt. w liście).

Węgiel i koks

dostarcza wagonowo na korzystnych warunkach

Fa „Opał" Sp. z o. odp.

Kraków, ul. Długa 50. Telefon Nr. 4379.

Papę do krycia dachów i izolacji, **smołę górnośląską, wapno, gips, cement, cegłę, trzcinę itp.**

poleca w najlepszych gatunkach, po najniższych cenach od 45 lat istniejący skład p. f.

A. Guzikowski

Obecnie K. z Guzikowskich Rzegocińska

Kraków, Rynek Kleparski 8.

Telefon 0264.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n. p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo

M. Pradel, Kraków, Grodzka L. 2

(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

ROLNICY!

Najlepsze pasy skórzane krajowe oraz zagraniczne, do wszelkich maszyn rolniczych oraz troki do szycia pasów poleca:

Pierwsza Małopolska

Wytwórnia Pasów Maszynowych

„Wurm i Ska" Kraków, Krowoderska L. 37

Ceny konkurencyjne. Tel. 31-30. Dogodne warunki spłaty.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli" za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

I to racja.

Wojtek: A przecież ta krowa, coście ją Mosiek, mi sprzedali, na oba ślepie nie widzi...

Mosiek: Nu, a po co jej to patrzenie? Od patrzenia się nie tuczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej żreć słomę, to ona się nie dopatrzy i będzie myślała, że to owies...



Matematyk.

— A więc, mój panie, na ile lat wyglądam?

— Ma pani twarzyczkę 20-letniej panny, nosi pani sukienkę jak 18-letnia pensjonarka, a jest pani szczuplutka jak 10-letnie dziecko. — Razem 48 lat.



Wiele hałasu o nic.

Z krzykiem wpada mały Morycek do pokoju ojca.

— Czego się tak drzesz, bębnie zatracony?...

— Połknąłem szpilkę...

— I o to robisz taki gwałt?... Masz tu inną!...

Kozła strzeż się z przodu, konia z tyłu, a głupiego ze wszystkich stron.



Poszedł Marek na jarmarek
i wstąpił an piwo,
Gadał, gadał, opowiadał
Ludziom różne dziwo,
O pozycji, opozycji
Coś tak ciekawego
I jak wiele zdziałać śmiele
Możnaby ten... tego...
Ludek ziewa, głową kiwa
I pomyśli w duszy:
Bajże baju, będziesz w raju,
Do stu paraluszy.



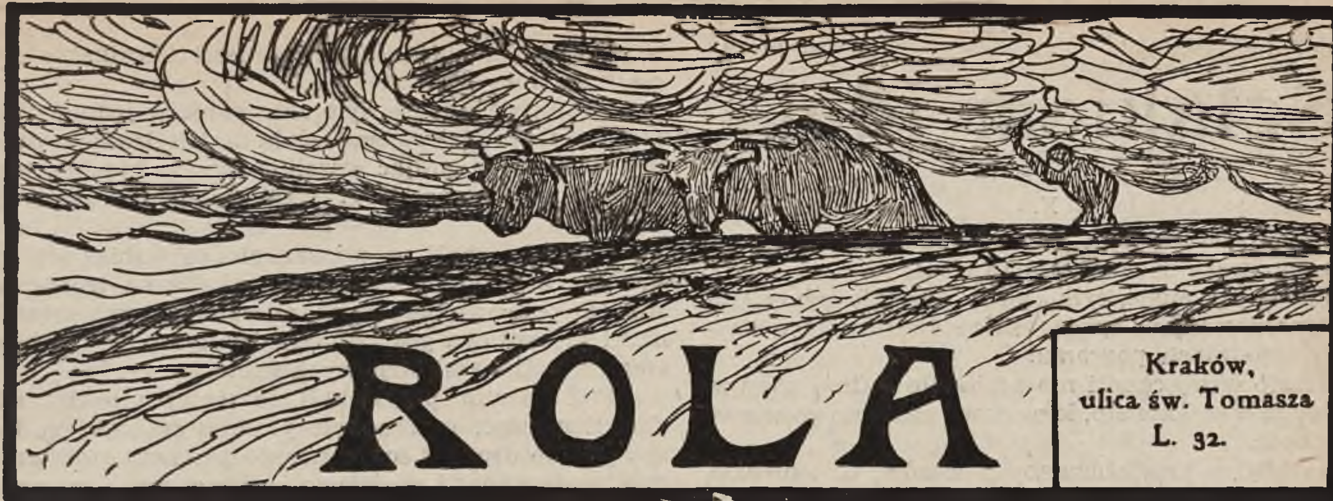
Duma zawodowa.

Młody nicpoń stoi na rogu ulicy i żebrze. Oburza to jednego z przechodniów, który zwraca mu uwagę:

— Jesteś młody i silny, mógłbyś się wziąć do jakiej uczciwej roboty zamiast stać na ulicy i żebrać.

— Panie! — odpowiada dumnie nicpoń — ja proszę o pieniądze, a nie o rady.

Numer 38. Rok XI. Kraków, dnia 16 Września 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Potrzeba nauki.

Przeważnie po miasteczkach i wioskach polskich słyszy się bardzo często zdania: »Poco się uczyć? Do czego przyda się nam ta nauka, jak na posadę trzeba czekać nieraz i lata całe? i t. d. Nie wiedzą, że »nauka, to potęgi klucz“, że nauka jest największą potęgą światową, rozwija ona nasz umysł i uprzyjemnia nam życie. Ileż to dobrych uczenic i uczniów cieszy się, że już koniec wakaji, że znowu będą pracować i wysilać swój umysł nad zdobywaniem nowej wiedzy, a jednak cieszą się, bo wiedzą, że nauka jest w życiu bardzo potrzebną. Uczyć się powinien nietylko człowiek bogaty, lecz każdy rzemieślnik, każdy człowiek nawet ubogi, wogóle kto tylko może. Lecz znowu nie każdy, kto się uczy rozumie naukę, niektórym zdaje się, że uczyć się rzemiosła jest rzeczą obrażającą jego godność, jego dumę osobistą.

A przecież nasz jeden z najpotężniejszych królów „złotego wieku“ Zygmunt Stary, umiał wyrabiać piękne kielichy i monstrancje ze złota i srebra, ozdabiał je drogiemi kamieniami i z największą przyjemnością oddawał się tej pracy — a to nie ubliżało jego królewskiej godności.

A czyż jeden z największych wodzów XVIII wieku Tadeusz Kościuszko nie umiał tokarstwa? I przydało mu się to bardzo, bo gdy dostał się do niewoli moskiewskiej, to uprzyjemniał sobie smutne chwile w więzieniu, tocząc z drzewa najrozmaitsze rzeczy.

Pewien bogaty panicz nie chciał się uczyć. — Naco? — poco? — Majątek miał wcale pokaźny, a do tego był jedynakiem. Matka wdowa, kochając bardzo swego syna, pozwalała mu na wszystko, co tylko zapragnął, to miał — lecz wykształcenia żadnego nie miał. Czas cały tracił z podobnymi sobie towarzyszami, bawiąc się i rozkoszując się uciechami tego świata. Aż przyszła wielka wojna światowa, majątek panicza został kompletnie zniszczony przez barbarzyńskich Rosjan, a matkę zaś zabiła kula moskiewska — a syn? — Syn został bez żadnej opieki i bez kawałka chleba w ręku.

Podam Sz. Czytelnikom jeszcze jeden przykład: Otóż papież Pius X pochodził z rodziny bardzo ubogiej. Początkowo, będąc dzieckiem, pasał bydło swego ojca, a później, gdy zaczął wiek szkolny, zapisał go ojciec do szkoły ludowej. I na tem miała się skończyć edukacja małego Józia Sarto — takie bowiem było prawdziwe imię i nazwisko papieża — bo ojciec na dalsze studja pieniędzy nie miał. Lecz proboszcz miejscowy zauważył zdolności małego Józia i zaczął go sam uczyć początków łaciny, później pomagali mu dwaj wikarzy. Ci zacni kapłani nakłonili ojca Józia, aby go posyłał do gimnazjum, które było oddalone o milę drogi od wioski rodzinnej. Chodził więc Józio pilnie do szkoły, w której był celującym uczniem.

Gdy ukończył IV klasę w Castelfranco, napisał zacny proboszcz — ten, który zaczął go uczyć łaciny — do arcybiskupa prośbę, aby ten raczył ułatwić zdolnemu uczniowi dalsze studja. Tak dostał się młody Sarto do wyższego gimnazjum w Padwie. W drugim roku pobytu jego w Padwie, umarł mu ojciec, wówczas matka, tak energicznie zajęła się wychowaniem dzieci, że wszystkich wykształciła na dzielnych ludzi. Gdy umarła, był już Józef Sarto arcybiskupem i kardynałem, a zawdzięczał to wszystko nietylko rodzicom, lecz przedewszystkiem nauce.

Celem więc naszego życia powinna być nauka, bo ona jest nam w życiu bardzo potrzebna. Wiedzmy o tem i pamiętajmy na zawsze, że nie uczymy się dla rodziców ani dla profesorów, lecz dla siebie, a przedewszystkiem dla Matki-Ojczyzny i dla Jej chwały.

Włodzimierz Szwabowicz.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść

X.

W pół godziny byli już na przedmieściu Lityna, gdzie panowała naokoło wielka cisza.

Ulice były puste, tylko gdzie niegdzie leżały trupy pomordowanych żydów, które świadczyły o ohydnych zbrodniach pogromu.

Miasto w tej chwili nie posiadało żadnej władzy, i z trwogą wyczekiwało, kto znowu zabierze go w swe posiadanie.

Na odgłos przejeżdżających wozów, tu i owdzie, wychyliła się ludzka postać, patrząc ciekawie, kto wjechał do miasta, a potem kryła się w bramę z powrotem, ruchem trwożnej obawy.

Tabor zatrzymał się na placu przed plebanją — zaraz też udano się do księdza, prosząc o gościnę. Ksiądz z miłą chęcią przychylił się do prośby podróżnych, rozmieszczając ich częściowo na plebanji, częściowo zaś w szkole — gdyż to były najodpowiedniejsze ubikacje.

Opowiedziano też księdzu smutny dramat, jaki się rozegrał z ośmioma towarzyszami podróży, których ciała niepogrzebane zmuszeni byli zostawić poza sobą. Wzruszony ksiądz tem opowiadaniem oznajmił wszystkim, by po wypoczynku rano zgromadzili się w kościele, gdzie będzie odprawione nabożeństwo za poległych towarzyszy.

Nazajutrz, zgromadzili się wszyscy Polacy — nie tylko ci co wędrowali, ale i miejscowi, a między nimi byli i Rosjanie — przejęci wszyscy żałobnym nastrojem, jaki zapanował w kościele.

Na środku kościoła, na katafalku żałobnym kirem okrytym, stała trumna w powodzi kwiatów, a wokoło niej leżało osiem wieńców z jodliny, z wypisanemi imionami zabitych.

W czasie nabożeństwa trumnę nakryto sztandarem, na którym był orzeł biały, a na chórze odśpiewali koledzy poległych, marsz żałobny: „Na krótki czas“...

Popłynęły łzy z oczu każdego Polaka, a usta zanosiły cichą modlitwę do Boga; by te ofiary, co padły były już ostatnie w ich męczeńskim pochodzie do granic Polski.

Po nabożeństwie, ksiądz miał krótką przemowę, lecz słowa jego były mocne i porywcze, tak, że w kościele rozległ się wkrótce jeden głośny rozpaczliwy szloch.

I płynęły łzy po troską zoranych twarzach, a z wieży kościelnej rozległ się żałośnie pogrzebowy dzwon, płynąc smutną swą skargą długo rozpaczliwie nieutulnie... w dal słonecznych hen świtów.

A gdzieś poza miastem, było już słychać ponurą grę armat, i krótki grzechot maszynowych karabinów... Walczono znowu o miasto.

Po nabożeństwie udali się wszyscy do szkoły, gdzie konferowali o dalszym marszu, i sytuacji politycznej na Ukrainie. Dłuższy referat, witając Polaków, wygłosiła pani dr. Zalewska. Po niej zaś przemówił ksiądz, żegnając śmiałych wędrowców, i dodając otuchy do dalszego marszu.

Wszyscy niemal mieszkańcy wyszli zaciekawieni na plac przed kościołem, skąd mieli ruszyć polscy wędrowcy w dalszą podróż — w kierunku: Płoskirów, Podwołoczyska, aż do Lwowa, gdzie czekała ich najtrudniejsza przeprawa, gdyż wojska ukraińskie otaczały naokoło Lwów.

Można się jeszcze było zatrzymać w jednej tylko niewielkiej osadzie, która leżała na ich drodze— dalej trzeba było już omijać wszelkie osiedla ludzkie, i torować sobie nowe drogi wśród stepów i jarów Ukrainy.

Gdy wyjechali za miasto, słońce wzbiło się już wysoko, a przyroda hafciarka usiadła na tronie, by snuć złociste swe przędze tkane z słonecznych promieni... i brylantową grę świateł rozpalać ponad śnieżystemi kurchanami stepowych rubieży.

Pod wieczór przyjechali do małej wioski, gdzie chcieli spocząć, oraz zaopatrzyć się w żywność na dalszą jeszcze drogę. Lecz w wiosce panował głód, gdyż była zrabowana, i częściowo spalona, przez rozmaite oddziały.

Wśród wieśniaków panował nastrój ponury, nieżyczliwie też przyjęto podróżnych, i z trudem ledwo zdołali się jako tako ulokować.

Jeden z bogatszych chłopów, skrycie przed drugimi, sprzedał im trochę żywności — więc zaopatrzeni nieco ruszyli dalej, torując już sobie drogi poza osiedlami ludzkiemi.

Ruszyli teraz w kierunku Podwołoczysk — wysyłając kolejno wywiady badając teren, oraz sytuację, jaka panuje w okręgu.

Podróż ich teraz była już bez odpoczynku. Czasem tylko gdzieś pod lasem, lub w głuchym stepie, stawali, by nakarmić konie, i napoić ich śniegiem stopionym na ognisku.

Gdy przejeżdżali głębokie śniegi, pomagali często ciągnąć wozy biednym zwierzętom zmęczonym długą nieustanną podróżą.

Trzeciego dnia, takiej bezwypoczynkowej podróży, stanęli na nocleg pod lasem, gdzie porozpalali ogniska — przy których grzejąc się, gotowały kobiety kolację.

Pan Winiawski, dla bezpieczeństwa postawił placówki; jedną w stepie, a drugą w głębi lasu. W step też jak i zawsze, pierwszy poszedł Gustaw w gronie kolegów.

Stojąc wpośród wieczornego mroku, pilnie badał szeroki teren, i wsłuchiwał się w najlżejszy szmer stepu, który cicho gwarzył, niby baśnią zaklętą, przypominając Gustawowi dawne dzieje — jak to Mohort z polskimi Kozakami bronił niegdyś honoru Polski...

Liljowe cienie mroków snuły się po białym śniegu... a z głębin lasu płynął cichy wiew płaczącego wiatru, co niby tułacz bezdomny pędził z żałosną skargą w nieznaną dal...

I zdało się Gustawowi, że po zmroczonym stepie snują się senne widma zanikłych czasów przeszłości — co z nową mocą w bohaterskiej swej odwadze powstają do walki o polską wolność.

Gdy świt zaczął posrebrzać wierzchołki drzew, ruszyli wszyscy z nocnego postoju, i choć źle wypoczęci i zmęczeni, cieszyli się nadzieją blizkiego już końca podróży.

Wkrótce też spotkali się z niewielkim oddziałem hajadamaków, który nie szczędząc im obelg i pogróżek, pocwałował dalej do swoich wojsk otaczających naokoło Lwów.

Dwa dni jeszcze tak szli, odpoczywając tylko w lasach, aż nareszcie zarysowały się zdaleka szare kontury miasta, otoczonego naokoło wojskiem ukraińskiem.

— Lwów! — wydarł się okrzyk z piersi wędrowców, a roztęskniony wzrok pobiegł z radością ku tym

widniejącym murom, co się wyłaniały w porannych mgłach.

Gdy podjechali bliżej, zaczęli się naradzać, jak przejechać bojową linję, która otaczała miasto żelaznym pierścieniem.

Nie znając położenia, niebezpiecznie było się puszczać w ten śmiertelny hazard — postanowiono zatem czekać jeszcze ku wieczorowi, starając się tymczasem zasięgnąć jakich wiadomości. Wkrótce napotkano chłopa Ukraińca, który znał dobrze okolicę, i po długim targu zgodził się wreszcie przeprowadzić wszystkich bezpiecznie, za dużą dość cenę złożonych mu pieniędzy.

W pewnem też miejscu niestrzeżonem przez wojska, wskazał im ów przewodnik wązką drogę, przez którą przeszli szybko, i znaleźli się wkrótce poza linją bojową, a potem z bijącem sercem stanęli na przedmieściu Lwowa — który na nich spoglądał wzrokiem umęczonej zbiorowej duszy, pogorzelisk i gruzów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nowe królestwo.

Zachodnią część półwyspu Bałkańskiego zajmuje niewielki kraik, Albanja. Kraj ten od soboty dnia 1 bm. stał się królestwem, a królem jego został obwołany Achmet Zogu I, dotychczasowy prezydent tamtejszej republiki. Proklamację poprzedziła uchwalona przez parlament jednogłośnie zmiana konstytucji. Zmiany te opiewają, że Albanja jest królestwem demokrat.-parlamentarnem, dziedzicznem, a królem Albańczyków jest Achmed Zogu I., potomek przesławnej rodziny Zogul.

Od setek lat rodzina, z której pochodzi nowy król albański, nosi nazwisko „Zogu", co oznacza rodzaj ptaków górskich, z gatunku małych orłów, gnieżdżących się w skalistych miejscowościach albańskich. W kotlinie gór zamieszkiwało niewielkie plemię górali — Matja — odcięte od świata, rządzące się od wieków własnemi patrjarchalnemi prawami, przekazując władzę z rodu na ród owym „Zogu" — „ptakom górskim". Wodzami plemienia z dawna byli członkowie tego rodu, a tytuł jaki sobie przyswoili głosił: „Parese i Matit" — „najgodniejszy z Matji". Czarny ptak górski, z rozpiętemi do lotu skrzydłami widniał na odwiecznym sztandarze jasno zielonego koloru.

Trzynaście sąsiednich drobnych plemion, liczących po paręset zaledwie głów, — „bairaki" — uznawało swą zależność od Matji — a „rada najstarszych", t. zw. „meszlis" od setek lat składała w ręce jednego z Zogu władzę zwierzchnią.

Rządzono się prawem przeważnie obyczajowem, przekazywanem przez tradycje z czasów Skanderberga II, ostatniego i niezawisłego króla, którego kolebkę przechowywano w rodzie Zogu, pradziadów dzisiejszego króla.

W szesnastym stuleciu ród Zogu przyjął islamizm i otrzymał godność paszów. Ród biedniał wszakże i z dawnej jego świetności nie wiele pozostało. Dzisiejszy król Albanji pasał kozy na stokach gór, chodził boso, dopóki nie udało się jego rodzinie sprzedać dość dobrze żyznej doliny, na której znalazły się dość duże złoża kruszcu, a nawet i miedzi.

Po śmierci swego ojca, nominalnego wójta Matji, Denwisza-Paszy, nawpół analfabety, rośnie Achmed w beztrosce pierwotnego człowieka, sam, jak dziecię natury, niepohamowany i dziki. Zwraca na bystrego i pojętego chłopca uwagę jakiś miejscowy urzędnik turecki i oto rozpoczyna się fantastyczna epopeja dzisiejszego monarchy.

Achmed Zogu dostaje się do dobrej szkoły w Konstantynopolu, do której uczęszczają synowie wezyrów, poraz pierwszy styka się z innym światem, budzą się też w nim ambicje potomka rodu starego, a historja w swych przykładach dostarcza młodej głowie dość tematu do fantastycznych rojeń. Te trzy lata w środowisku tak odmiennem rozbudzają w młodym chłopcu gorączkową żądzę wiedzy. Musi jednak wracać do rodzinnej wioski, by objąć po matce dziedziczną władzę i urzędy w własnem plemieniu. Achmed Zogu przyjrzał się w Konstantynopolu przepychowi wschodniego ceremonjału — marzy o tem u siebie, w ubogiej gminie wiejskiej. Obejmując urząd wójta Matji, urządza w zapadłej górskiej dolinie niebywały pochód wiernych „wassali" — bosych wprawdzie i obdartych, ale z dumą patrzących na swego wójta, przybranego w fantastyczny jakiś strój, skombinowany z uniformów tureckich, włoskich, operowych strojów o podniszczonej świetności.

Przychodzi wielka wojna. 20-letni Achmed Zogu formuje z swych rówieśników bataljon, który nosi dumną nazwę „Ptaki albańskie", walczy przy boku austrjackiej gwardji cesarsko-królewskiej, wyróżnia się szeregiem brawurowych czynów. Aż wreszcie przychodzi chwila, kiedy Albanja pozbywa się narzuconego księcia Wieda. Achmed Zogu jest pierwszą figurą w swym kraju.

W roku 1920 Achmed Zogu jest już Ministrem Spraw Wewnętrznych Albanji. Z niezwykłą energją zabiera się do organizowania życia w swej ojczyźnie, anarchicznej z tradycji, nawykłej do samowoli, złożonej z elementów, które odziedziczyły wszystkie cechy i długiego tureckiego jarzma i deprawacji austrackiej i bierności południowców.

Z wielkiej wsi, Tirany, czyni Achmed Zogu stolicę. Rozbudowuje ją w szybkiem tempie. Jest coprawda i parlament i ministerstwa, administracja — ale nad wszystkiem góruje silna, nieugięta wola Achmeda Zogu, który jak istny „Ptak górski" widzi swem bystrem spojrzeniem każdy odruch życia swego narodu. Albanja zostaje przyjęta do Ligi Narodów, Międzynarodowa komisja określa granice, obce mocarstwa przysyłają swych pełnomocników. Jeszcze tylko wewnątrz kraju pozostaje do uregulowania jedna sprawa, którą z całą bezwzględnością likwiduje: to groźny przeciwnik, Fan Nolis, którego w 1924 roku obala i skazuje na wygnanie. Od 1925 roku Albanja jest już republiką. Jej prezydentem na okres 7-letni zostaje obrany Achmed Zogu Pasza. Prezydentem nominalnym tylko — jest dyktatorem, władcą nieograniczonym. I jak każdy władca małego państwa miłuje się Achmed w blasku i świetności. Uniform własny i swej świty zmienia parokrotnie: czerwone, husarskie spodnie, to znów białe, łosiowe, mundury haftowane obficie złotem, sznury, pasy, ordery, czapy futrzane z wielkiemi kitami itd. — takim ukazywał się własnemu ludowi, pragnąc mu w dekoracyjności i przepychu zaszczepić przywiązanie do władzy i dostojeństwa.

Naród uległ hypnozie — chce króla, w gronostajach, koronie, z berłem.

Stoi w Tiranie świeżo wzniesiony pałac królewski, w którym prócz Achmeda nie mieszka nikt. Z rodziną swą zerwał Zogu zupełnie, jedynie sędziwa matka przybywa niekiedy do Tirany, by zdaleka patrzeć na swego niezwykłego syna. Obok pałacu stoi

niewielka willa, w której mieszka najbogatszego w Albanji człowieka, Szeoketa Verlazi, córka piękna i... smutna. Bo oto Achmed zamierzał pojąć ją za żonę, kiedy mu pomoc bogatego ojca była tak potrzebna. Dziś zamiar ten został zaniechany, mimo, iż Achmedowi grozi „krwawa zemsta“ rodziny narzeczonej — marzy mu się już jaka księżniczka z dworów królewskich, koligacje polityczne biorą górę i... pałac królewski w Tiranie stoi ponury i pusty.

Przepowiednie.

A d e l a j d a to pani wdzięczna i urocza,
Dumna i nieugięta jako skalny granit,
Tam nie znajdziesz błękitu ni miłości w oczach
Ale czarny jako noc błyszczący aksamit...

A l b i n a — hm... Albina określić jej trudno:
Motyl, z kwiatka na kwiatek, wszystkie jej są łąki —
Przy jednym mężu ślubnym zda się jej być nudno,
Szuka przygód — więc z mężem przyjdzie do rozłąki.

A l i c j a, temperament męski i ognisty;
Konie, harty, broń palna, łodzie, aeroplany,
Ale serce jej pełne jest miłości czystej
I gdy żoną zostanie mąż będzie kochany.

A m e l j a, w ideałów zrodzona koronie,
Pojona od dzieciństwa ambrozją miłości;
To anioł, który w blaskach zórz różanych tonie
I pragnie noc ozłocić cierpiącej ludzkości.

B o g u s ł a w a, Bogusia ta rzadko się modli,
Chociaż często do świątyń zagląda ciekawa —
Ale mimo to wszystko duszyczki nie spodli,
Bo jeszcze przed czterdziestką nastąpi poprawa.

E l ż b i e t a, to cnotliwa i zacna niewiasta,
W ciężkiej pracy wychowa swoje liczne dziatki,
A majątek jej będzie błogosławion — wzrastał,
Że na starość odpocznie patrząc na dostatki.

F i l o m e n a, potrafi tak kochać ogniście,
Jak żadna z dziew dorodnych — tylko, że nie stała;
Spodoba się jednakże wkrótce organiście,
Który tak musi tańczyć, jak mu będzie grała...

G e n o w e f a — nie myślcie o tej pustelnicy —
Będzie ona wysoko przez męża wzniesiona,
Bo jej się podobają jedynie lotnicy —
Po ślubie ją też porwie jej Ikar w ramiona...

H o n o r a t a powiada, że jest zakonnicą
Pomimo, że nie nosi mniszego różańca —
Figlarna z niej istotka, oczka jej się świecą,
Gdy zobaczy ułana... mazur!... hej do tańca!

J a d w i n i a, na to imię rym się cudny składa,
Tak cudny jak jej oczy, jak wiosny poranek,
Szczery jak jej serduszko, które śmiało gada,
Że jeno dla poety z róż uplata wianek.

J u d y t a, baczność rodzie męski i marsowy!
Nie chcę Holofornesa tu wspominać losu,
Jednak tyle ci powiem: strzec należy głowy,
Bo Judyta jest zawsze gotowa do ciosu.

K l e o p a t r a, pragnąca władzy i zaszczytów —
Zamki złote i trony snują jej wizje,
Lecz jej się nic nie ziści z tych sennych zachwytów
Chociaż wiele rozkoszy za życia użyje...

K r y s t y n a, choć marcowa, ma w sobie coś z lipca,
Będzie dobrą znachorką, nie duszy lecz ciała;
Lubieć będzie napoje — skoczną grę na skrzypcach,
Wyjdzie zamąż, gdy będzie lat pięćdziesiąt miała...

K u n e g u n d a, ta lubi sielankowe życie,
Gospodarstwo domowe, szyć, prać i gotować;
Z posłania wstawać będzie o różowym świcie,
Aby na łanie innem dziewczętom przodować.

Ł u c j a — och, grudniowy mróz idzie po kościach —
Lecz nie myślcie dlatego, że winna Łucja,
Nie! to miła istotka, szczególnie przy gościach,
Bo z nimi dużo gada — nigdy nic nie pija...

M a g d a l e n a, z afektów męskich ma podnóżek,
a ze słów poetycznych girlandę na skroni —
Pamiętajcie, że ciernie posiadają róże,
które kolą aż do krwi mimo cudnej woni.

M a r t a, ta wszystko widzi w różowych kolorach,
Sama „róż“ bardzo lubi (i karmin na wargi)
Lubuje się namiętnie w Psychach i Amorach.
Często śpiewa namiętnie Filonowe skargi...

N a t a l j a, niewinność i udana cnota.
oczy w dół, ręce często na mężulka papie...
Ze zwierząt zaś nie cierpi najokrótniej kota,
Bo ten łasić się lubi, ale często drapie.

O l i m p j a... — Czy znacie „Laur Olimpijski“?
W nim znajdziecie sylwetkę panny Olimpji,
Od której dostał szarfę Kazimierz Wierzyński
Sławiąc Sport w artystycznych rymach poezji!

P e t r o n e l a, śpiew lubi, dumki, bałałajki —
Szum wody szmaragdowej i miłość kozaczą;
Nie pogardza w herbacie też rumem z Jamajki
Ani winem czerwonem, kiedy ją uraczą.

R u f i n a, feministka wszędzie w każdym calu,
Będzie posłem do sejmu na przyszłe wybory
O ile się nie pozna z Maćkiem w karnawale,
Wówczas pierzchną ideje — poselskie honory...

S a b i n a, jakże pisać co na sercu leży
Skoro za prawdę biją, ale wszystko jedno:
oto Sabcia z miłości skoczy z Eifla wieży,
gdy mama da na podróż, bo jest bardzo biedną.

T e k l u s i a, niska gruba czasem jest złośliwa,
Bo nosek ma śpiczasty — wargi ust wąziuchne
Lubi często nawarzyć przyjaciółkom piwa
A nawet mnie raz... oho, tu rym zdmuchnę!

Ostatnia w kalendarzu panna Z e f i r y n a,
Imię miłe jako zefir, gdy całuje kłosy...
Lecz radzę niech z Zefirkiem nikt z was nie zaczyna,
Bo w huragan się zmieni i... pomierzwi włosy!

* * *

Wybaczcie Czytelniczki wesołej pustocie
Która krzywdy nie czyni — smutnych rozwesela,
Wiedzcie, że ten poeta nie jest zły w istocie,
Który iskrą humoru z Wami się podziela.
Niechże więc żadna z dziewoj nie zgrzyta ząbkami
Boć ta i szczera prawda czasem nie zawstydza
Uśmiechnijcie się do niej ustek karminami —
Przyjmijcie pozdrowienia od

Roberta Rydza.

ZAMEK W KRASICZYNIE.



Dawniej, gdy po świecie grasowały różne bandy rozbójnicze, gdy spokojni obywatele nie byli pewni dnia ani godziny, gdyż lada chwila mogli napaść niespokojni sąsiedzi, zrabować mienie, wyrżnąć mieszkańców, a siedzibę ich z dymem puścić, zamożni ludzie budowali sobie obronne zamki, które ich chroniły przed najazdem nieprzyjaciół. Zamek taki, zbudowany z cegły i kamienia, otoczony był najczęściej nokoło rowami napełnionymi wodą, nad którymi wznosiły się mosty zwodzone, a które spuszczano tylko wówczas, gdy ktoś z zamku lub do zamku chciał wyjść lub wejść. Oprócz tego broniły zamku baszty takie, jakie widzimy na naszym obrazku. Górując nad całą okolicą, ułatwiały w razie napadu lub oblężenia mieszkańcom obronę. Zamki te po największej części leżą już dziś w gruzach, a często nawet z nich i śladu nie zostało. Na obrazku naszym widzimy jeden z takich zamków w całej jego okazałości.

Podanie z Liwocza.

W oddaleniu 16 km. od Jasła, w stronie północno-zachodniej, wznosi się potężna, 561 m. na poziom morza wystająca góra, zwana Liwocz. Z jego szczytu rozlega się piękny widok, na odległość 40 km. wokoło. Pokrywają Liwocz piękne lasy liściaste, przeważnie buki i graby, chociaż nie brak też i drzew iglastych. Na jednej skale natrafiła nawet pewnego razu wycieczka studentów z Jasła na rzadki okaz szarotki alpejskiej, swobodnie tu rosnącej. Wobec wielkiej ilości buków i nierzadkich też dębów ze swemi „żołędziami“, napotyka się dosyć często stada dzików, wśród oazów zaś leśnych uwijają gromadki saren i rogaczów, zimową zaś porą napotkać można jeszcze chociaż rzadkiego już w tych okolicach drażnika-wilka

W dawnych czasach zajmowały lasy Liwocza ogromne obszary, obecnie dużo z nich wytrzebiono i zamieniono w uprawne pola. W ogromnych gąszczach leśnych kryło się mnóstwo zbójów. Tu i ówdzie znajdowała się smolarnia lub węglarnia. Przy drodze wiodącej przez las, stało stare ogromne karczmisko, w którem urządzano często hulanki, całymi dniami i nocami trwające, na których nie obeszło się bez krwawych bijatyk, a po nich, zostawała karczma bez okien i sprzętów domowych.

Gdy już za dużo było tych przekleństw i zgorszenia nawet samemu Panu Bogu — wysłał pewnego razu do karczmy djabła, aby ten kres temu położył i pozwolił zabrać mu za to ze sobą do piekła jednego z muzyków karczemnych. Chciwy na duszę ludzką djabeł, wybrał się bezzwłocznie do karczmy i mimo, że było już południe, zastał jeszcze muzyków śpiących na słomie w karczmie. Nie namyślając się długo, złapał djabeł pierwszego zaraz z kraju i wlecze go za kołnierz ze sobą z karczmy na pole. Był nim basista. Skoro oprzytomniał i zrozumiał, w jakiej znajduje się sytuacji, prosił djabła, aby mu pozwolił zabrać ze sobą choć basy, aby miał na czem potępieńcom w piekle przygrywać. Djabeł powiedział, że nie brakuje w piekle muzyków, jednak uczyni zadość jego ostatniej prośbie i pozwolił mu zabrać bas ze sobą. Powiesiwszy bas na plecach, udał się z kusym nad brzeg ogromnej przepaści, do której kazał mu djabeł wskoczyć, a gdy się basista ociągał, złapał go za bary i zepchnął go przemocą, wskakując razem z nim w bezdenną przepaść. Jak podanie mówi, długo wydobywały się chrapowate głosy z otchłani, podobne do gry na basach i każdy omijał ją z daleka, utrzymując, że z tej przepaści jest wchód do piekła. To też ów głęboki parów przezwano „piekłem", którą to nazwę nosi po dziś dzień. Podczas eksploatacji lasów przed kilkunastu laty zapomniano o strachu i piekle i całą okolicę „strasznego piekła" ogołocono zupełnie z potężnych kloców, za które zapłaciła dobrze zagranica, pomimo, że pochodziły z piekła. *Piotr Wenc.*



Powiadali nieboscka matsia — świeć Panie nad ich zmarłą dusycką — ze jak Poniezus dopuści, to i z kija wypuści. Tak ono i jest, ale nie ła wszyćkich! Jednemu jak się zacnie scęścić, to ani się obejrzy, jak się mu we wszyćkiem scęści, a drugi będzie wam orał, jak ten nie przymierzając pies, a choćby se wszyćko po sam pępek uorał, to mu z tego nic nie przyjdzie.

Do takich scęśliwców, któremu scęście drzwiami i oknami do chałpy lizie, moze się zalicyć nas sąsiad Wawrzek, ten, co to w środę po Zielny było jego wesele. Bo cy się to komu inksemu trafi, aby mu w jednem i temsamem roku i baba umarła i druga się za niego wydała i zeby jesce tego samego roku krzciny sprawił. A u Wawrzka właśnie tak było! Nieboscka mu zmarła wtencas jakmy zimniacki podsypywali, we środę po Zielny jegomość dali mu ślub z Marcysią, a na Siewną było juz dziecko gotowe. Cy się to drugiemu tak poscęści? Gdzietam! Musi nieraz po ślubie cekać rok i dwa, a casem to się i do śmierci nie doceka!

Ale bo tez ze niema na tym świecie sprawiedliwości, to niema! Bo pytam ja się lacego taka Weronka Hudziaskowa, kobiecina mikrna, coby ją we dwóch palcach przescyknął, to ma co roku pędraka, a jakby jej pono sąsiadki nie odradzały, toby ich i cworo do roku umnozyła. Musi babisko charować i na chłopa i na dziecka i na siebie, a nikt nad nią zlitowania nie ma! A za to Józka Kalisonka, dziwcysko, coby wóz na niej z sianem obrócił, choć trzydziestą piątą sobie wiesnę rachuje, a ma ich pono jesce parę więcej, ani jednego dotychcas bachora nie ma. Taby se prędzej dała radę ze wszyćkiem, bo jej ani chłop w nicem nie przeskodzi, bo go jesce ni ma, ani o dziecka się troskać nie musi, bo ich takze ni ma, a koło chudoby to Walek i Bartek wszyćko zrobią, a ona ino zęby do chłopaków scyrzy. Jakby jej Poniezus jakiego pędracka ochwiarował, toby przecie prędzej miała cas koło niego chodzić, jak Weronka Hudziaskowa. Ale to juz tak, ze jednemu noze golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą!

Wawrzek, jak powiedziałem, z urodzenia się własnego syna nic a nic się nie uciesył. Jak toto zacęło skrzeceć pod pierzyną, tak on powiada:

— Słuchajno kubito! A co ty znowu takiego gdziesi kajsi chowas?

— A dyć przecie słysys — Marcysia na to — Taj to przecie dziecko!

— Ha! Co powiadas? Dziecko? A to niby skąd?

— Skąd? Jakto niby skąd? Przecie kuzdemu wiada, skąd się dzieci biorą! Poniezus dał, no i koniec!

— A chorobo jakasik — rozeźlił się na dobre Wawrzek. — A cemu ci to Poniezus nie dał tak ze dwa tygodnie przed ślubem ino teraz?

— Ta gdzie zaś — Marcysia na to — przed ślubem toby było zgorsenie i obraza Boska, a zreśtą nie wiadomoby było, cyje ono jest. Kuzdenby na niem utknął, bo takie dziecko bez rodzonego ojca juz od samej maleńkości musi cierpieć niewinnie, a takie poślubne, to przecie co inksego!

Bez jakiś cas Wawrzek drapał się po głowie, bo w zaden sposób ni mógł spenetrować, co i jak, ale po niejakims casie cosik mu przysło do głowy i na najniewinniejsą kobietę wziął się do powroza. I, jak to juz pedziałem, nie wiadomo, na cemby się to było skończyło, gdyby nie sąsiadki, które Marcysię obroniły. Jak jem Marcysia dziękowała, to się wyprasały od podziękowania, bo powiadały, ze nie wiadomo, co i kiedy kogo moze spotkać, a co tobie dzisiaj, to mnie lada tydzień moze się przydarzyć.

Ale z Wawrzka mimo wszyćko to chłop okrutecnie dobry. Zamiast się źlić dalej na Marcysię, to jak ochłódł trochę, tak przysed do niej i powiada:

— To mi ta juz daruj, zem cię ino dwa razy powrozem przeciągnął, ale to mi się ta ino tak wyrwało niechcąco. A ze jest pędrak, to niech sobie i będzie. Franuś dorasta, przyda się do inksej roboty, Marysia w gospodarstwie ci pomoze, a to za jakie śtyry do pięciu lat, chociaz gęsi przypilnuje.

— A widzis, a widzis — Marcysia znowu — inksaby ci tak dogodziła, jako ja? Ale juz tak jest na świecie, ze choćby baba chciała jak najlepiej, to chłopu zawse źle! I juz ja doprawdy nie wiem, na co jesce Poniezus tych chłopów na ziemi trzyma? Chyba ino na to, aby niewiasty miały od nich ciągłe utrapienie i krzyz Pański?

— No cichojno, cichoj! Juz ta jak jest, niech tak będzie, a nie pomstuj, bom ci tam tem powrozem gnatów nie poprzetrącał! Powiadajno lepiej, co nam Poniezus dał: chłopaka cy dziopę?

— Coś chciał, to mas! Chciałeś chłopaka, to jest chłopak, a jak będzies chciał dzieuchę, to na bezrok będzie dzieucha!

Wprawdzie Wawrzek nie bardzo wiedział, kiedy i co chciał, ale kiedy Marcysia powiedziała, ze chciał i ze chciał chłopaka, to się bardzo uciesył i Panu Bogu podziękował, ze tak prędko jego zycenie spełnił.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XX.

Ratunek.

W chwili, gdy herkulesowej postaci robotnik spostrzegłszy Czerwonego Sarafana zamierzył się na niego żelazną sztabą, Czerwony Sarafan cofnął się nagle.

Zawalenie nastąpiło w tej samej chwili.

Noc nieprzenikniona ogarnęła go nagle, nie doznał jednak żadnego skaleczenia od opadającego rumowiska.

Był zasypany. Odwrót był mu odciętym.

Głucho tylko dochodził do niego odgłos cofających się ludzi.

Czerwony Sarafan, który nie okazywał żadnej obawy, ponieważ instynktownie ufał, że się z tego zajścia jakoś wydobędzie i teraz widząc się w zasypanym korytarzu, nie przestraszył się bardzo.

Ciemność grobowa, która go otaczała, byłaby przeraziła każdego innego, Czerwony Sarafan pozostał jednak spokojny, mówiąc sobie, że z podziemnego korytarza musi być jakieś inne wyjście.

Zaczął więc iść dalej, rękami dotykając ścian.

Nagle stanął.

Głębokie, ciężkie westchnienie doszło do jego uszu.

— To człowiek! — szepnął Sarafan — he! kto tu jest? — zawołał.

Nadstawił uszu. Słaby jęk odpowiedizał mu. Czerwony Sarafan poznał, że zbliża się do jęczącej istoty. Uszedłszy parę kroków uczuł, że noga jego dotknęła jakiegoś ciała. Pochylił się, doznając jakiegoś uczucia na kształt strachu. Macając rękami poczuł leżącą na małym pagórku postać ludzką.

— Kto jesteś? — zapytał — zdaje mi się, doprawdy, że to ślepa niewolnica z Sziras.

— Pomóż mi człowieku, ktokolwiek jesteś! — dał się słyszeć głos słaby.

— Jesteś Sassa! Dostałaś się tu do podziemia!

— Daj mi... kawałek chleba... lub trochę wody... nie mogę wyjść... wyjście jest zasypane!...

Czerwony Sarafan podniósł się.

— Więc i tu wyjście zasypane? — szepnął — eh! toby było głupio! Nie moglibyśmy wyjść!

Obszukał swoje kieszenie. W jednej znalazł dość spory kawałek chleba. Odłamał trochę i podał wycieńczonej Sassie, która chwyciła go chciwie, aby dręczący głód zaspokoić.

— Wody nie mam — rzekł — jestem Czerwony Sarafan! Szukałem cię, bom wiedział, żeś została w wieży.

— Jestem jeszcze pół nieprzytomna — odpowiedziała ślepa niewolnica, przychodząc zwolna do siebie — jesteś Czerwony Sarafan? I przychodzisz mnie ocalić?

— Zdaje mi się, że teraz oboje jesteśmy zgubieni — odpowiedział szczególny człowiek, macając rękami dokoła siebie.

Czerwony Sarafan badał zawalone miejsce, koło którego Sassa siedziała na zsuniętej ziemi. Wreszcie począł grzebać coś rękami.

— Co robisz? — zapytała — czy nie mogę ci pomóc?

— Robię tylko próbę skowronku!

— Odkopujesz ziemię?

— Tylko tu na górze, w suficie podziemia! Spada wprawdzie jeszcze trochę ziemi, ale to musi się skończyć, jeżeli dalszy kawał się nie zawali.

Sassa wstała. Obecność Sarafana i spożycie chleba powróciło jej siły, najbardziej jednak ożywiała ją myśl o Janie Sobieskim, o którego ocaleniu opowiedział jej Sarafan. Chciała pomagać Sarafanowi, nie pozwolił jej jednak na to.

Godziny upływały.

— Nic z tego nie będzie! — rzekł wreszcie Sarafan znużony.

Rzucił się na ziemię i jak się zdawało nie miał zamiaru pracować dalej.

Ślepa niewolnica siedziała również skulona.

Cisza, grobowa cisza, panowała w strasznem podziemiu.

Czerwony Sarafan zasnął, Saasa słyszała jego równy oddech.

Nareszcie i ona zasnęła.

Gdy się obudziła po długim, pokrzepiającym śnie, usłyszała Sarafana kopiącego.

— Jakże idzie Sarafanie? — zapytała.

— Może się jeszcze wydostaniemy skowronku — odpowiedział — dostają się mi w ręce korzenie i rośliny.

— Niebo może nas wyswobodzi! — rzekła ślepa niewolnica, składając ręce.

Sarafan kopał dalej rękami i nagle ukazał się nad nim, w miejscu, w którem ziemia się zapadła, mały otwór, przez który przedzierał się promień światła.

— Wydostaniemy się — zawołał — robi się widno.

Sassa szeptała modlitwę dziękczynną.

Otwór robił się coraz większy.

— Chodź tutaj i ostrożnie wdrap się na górę! — zawołał Sarafan.

Ujął ją za ręce i pociągnął ku miejscu, ponad którem znajdował się otwór.

— Dalej! wydostań się tylko na wierzch! — wołał na nią Czerwony Sarafan, pomagając jej wyleść.

Sassa wdrapała się do otworu i wydostała się szczęśliwie na powierzchnię ziemi, gdzie dokoła rosły krzaki i drzewa.

Czerwony Sarafan wydostał się z kolei z czarnej, zaduszonej głębiny.

Odetchnął głęboko i roześmiał się swoim zwyczajem.

Stojąc przy otworze spostrzegł Sassę.

Patrzył na nią przez chwilę nieruchomy.

— Śpi — szepnął — gdy się obudzi, to sobie sama da radę.

I oddalił się z miejsca, w którem ślepa niewolnica leżała pod drzewami, aby dalej prowadzić swoje awanturnicze życie.

Nie zaszedł jednak daleko.

Gdy zbliżył się do miasta, ujrzał nagle oddział straży miejskiej.

Chciał przejść koło tych ludzi, śmiejąc się, przyszli oni jednak do siebie z przestrachu, jakim ich przejął widok tego, którego uważali za zaginionego.

— Oto on! Czerwony Sarafan! — wołali — schwytać go! Nie zginął! Jest nieśmiertelny!

— Zobaczym! Zabić go! Zakłóć! — rozkazał dowódca oddziału.

— Nie! nie trzeba go zabijać! — zawołało kilku — weźmy go do miasta! Jeżeli go tu zostawimy, to znów powróci żywy! Zabierzmy go do miasta i złóżmy do trumny zmarłego robotnika, który dziś

ma być pochowany! Z trumny nie wyjdzie. Tym sposobem pozbędziemy go się raz na zawsze!

— Włożyć go do trumny zmarłego? — zgodzili się wszyscy — niech go umarły zabierze z sobą do ziemi! Umarł on przez niego, więc go od siebie nie puści! Jeżeli dobrze zagwoździmy trumnę, upiór ten, zapowiadający rozlew krwi, nie będzie się mógł wydobyć!

Czerwony Sarafan patrzył na tych ludzi ze zdziwieniem, następnie roześmiał się i rzekł do nich kilka słów.

Nie słuchali go jednak, ale związali i powlekli za sobą.

Nie brakowało wiele do ukamieniowania Czerwonego Sarafana przez rozdrażniony tłum. Straż miała niemało trudności, ażeby go uchronić i zamknąć do aresztu, w którym miał zostać, aż wszystkie przygotowania ukończone zostaną.

Rozdział XXI.

Między życiem a śmiercią.

Dla herkulesowej postaci robotnika, który przy zawaleniu się podziemia śmierć poniósł, musiano sporządzić trumnę bardzo wielką i długą.

Następnie złożono go do niej w śmiertelnej koszuli i wystawiono w przedsionku kościoła. Wszyscy śmierć jego przypisywali czerwonemu widmu wojny.

Uchwalono zatem Czerwonego Sarafana, wraz z ofiarą zamknąć do trumny i zamurować. Tym sposobem sądzono, że Sarafan raz na zawsze zostanie usunięty.

Uchwałę tę obwieszczono mieszczanom przez obwoływaczów publicznych, i wszyscy przyjęli ją z zadowoleniem.

Do tego czasu nie zaglądano wcale do Czerwonego Sarafana, który się znajdował w pilnie strzeżonem i bezpiecznem zamknięciu. Teraz dopiero przełożeni miasta udali się z oprawcą i poświęconą chorągwią do kaźni, ażeby zajrzeć do więźnia i areszt, w którym się znajdował, wykadzić poświęconem kadzidłem.

Czerwony Sarafan, któremu ani jeść ani pić nie dawano, leżał w kącie ciemnej izdebki na garści przegniłej słomy. Nie poruszał się. Oczy miał zamknięte. Wyglądał okropnie i powinien był budzić litość.

— Oho! udaje! — wołali mieszczanie, — nie trzeba mu dowierzać! To sam szatan, albo jego wysłaniec!

— Nie umrze on! Nawet z głodu nie umrze! — mówili inni, — udaje tylko nieżywego!

— Niech mu oprawca naleje wrzącej smoły na piersi! — zawołał któryś.

— Tak, macie słuszność! — zawołano dokoła, — przekonamy się, czy z nas drwi! Niech mu oprawca naleje wrzącej smoły na piersi.

Myśl torturowania Czerwonego Sarafana znalazła ogólne poparcie i wszyscy tłoczyli się dla zobaczenia, czy martwota była udaną.

Ciemny, sfanatyzowany tłum zgromadził się przed kaźnią, aby słyszeć co się tam działo. Co chwila odzywały się głośne przekleństwa, rzucane na tajemniczą postać, która jak powszechnie sądzono, sprowadziła na miasto nieszczęścia i rozlew krwi.

Oprawca, który tuż obok kaźni miał izbę z przyrządami do torturowania, wyniósł z niej naczynie z węglami i drugie naczynie ze smołą.

Mieszczanie sypali na węgle kadzidło, a oprawca rozżarzał je i ogrzewał smołę.

Następnie przystąpił do obumarłego Sarafana, którego blada twarz i rozrzucone rude włosy wyglądały okropnie i ukląkł przy nim.

Otworzył czerwony jego kaftan pod szyją i obnażył pierś, poczem puścił kroplę wrzącej smoły na chudą pierś podejrzanego o stosunki z szatanem.

Głuchy jęk bólu wydarł się z piersi Czerwonego Sarafana.

— Oho! słyszycie? — wołali otaczający, — już daje znak życia! Widzicie, że tylko udawał! Dalej oprawco!

Kat spuścił znowu kroplę na pierś nieszczęśliwego.

Czerwony Sarafan podniósł się nagle, otwierając zapadłe oczy i patrząc strasznie na otaczających. Jęknął z bólu.

— Ocknął się! Podniósł się! żyje! Udawał tylko! — wołali zgromadzeni.



I roześmiał się swoim zwyczajem

Zaślepiony tłum domagał się spełnienia strasznego wyroku.

Ludzie z oprawcą na czele opuścili izbę, w której znowu Sarafana pozostawiono samego. Miano się zająć natychmiast przygotowaniami do spełnienia powziętego zamiaru.

Radni odbyli radę nad propozycją i prośbą mieszkańców i po niejakim czasie uchwalili, że Czerwony Sarafan nie zostanie złożonym do trumny robotnika, który tym sposobem, nie miałby w grobie spokoju, lecz, że robotnik zostanie pochowany po chrześcijańsku, a Czerwony Sarafan jeszcze tego wieczora będzie zamurowany żywcem, ażeby nie ściągał więcej klęsk i rozlewu krwi na miasto.

Gdy delegaci miejscy oznajmili tę wiadomość tłumowi, który ją przyjął głośnymi okrzykami, dopełniono obrzędu pochowania zabitego robotnika.

Następnie tłum udał się do więzienia Sarafana!

Przybyli tam jednocześnie radni z oprawcą. Było już ciemno, zapalono zatem pochodnie.

Otworzono więzienie.

Czerwony Sarafan leżał na słomie.

Zmuszono go, żeby powstał.

— Udaje tylko! Musi iść! — krzyczano, — zaprowadzić go do klasztoru!

Przy ponurym blasku pochodni, wyprowadzono Czerwonego Sarafana z zajmowanej izby.

Uszedłszy kilka kroków upadł.

Dano mu wina i pozwolono mu posilić się. Lud chciał widzieć skazanego. Miano go oprowadzać po ulicach.

Gdy wypoczął i posilił się, kat znaglił go do pójścia dalej. Okropny to był pochód. Krzycząca, tryumfująca, wstrząsająca pięściami gromada ludzi otwierała go. Dalej szedł Czerwony Sarafan obok oprawcy. Obok nich szli służący miejscy z zapalonemi pochodniami. Za tymi postępowali radni, a koniec długiego orszaku stanowił tłum nieprzejrzany, wydający głośne okrzyki radości, że z krwawem widmem wojny raz będzie zrobiony koniec.

Okropny orszak zbliżył się do dawno opuszczonego i na pół zrujnowanego klasztoru, leżącego na końcu miasta w samotnem i pustem miejscu.

Nagle, właśnie w chwili, gdy Czerwonego Sarafana miano wprowadzać do klasztoru, pochód został wstrzymany przez zbliżający się odgłos, który radnych i lud przejął na chwilę obawą i przerażeniem.

Dały się słyszeć w oddaleniu rogi... — nadciągali żołnierze... — okrzyki napełniały powietrze.

— Zamurować go prędko! —wołano.

Nadbiegli jednak w tej chwili mieszczanie, którzy się znajdowali przy bramach miasta i na wałach i oznajmili radnym, że wódz Sobieski powraca z pola walki zwycięsko, pobiwszy Doroszenkę i jego Kozaków.

Radni i lud przyjęli wprawdzie tę wiadomość z okrzykiem, ale nie myśleli wstrzymywać się z wykonaniem wyroku.

Miano właśnie wprowadzić Czerwonego Sarafana do klasztoru, gdy nadjechało kilku jeźdźców.

Był to Jan Sobieski z kilkoma podkomendnymi.

Lud okrzykiem witał zwycięzcę, a radni miejscy zgięli przed nim kolano.

Sobieski w blasku pochodni ujrzał Czerwonego Sarafana.

— Co chcecie z nim robić? — zawołał, — czy straciliście zmysły? Czemu czepiacie się tego człowieka, który mi życie ocalił? Puścić go! Biada wam wszystkim, jeśli włos jeden spadnie z jego głowy!

Nikt nie miał odwagi oprzeć się rozkazowi wodza.

— Jesteś wolnym Sarafanie! — rzekł Sobieski, — możesz się udać, gdzie ci się podoba.

Był to niespodziewany ratunek. Tłum stał w milczeniu.

Sobieski zwrócił się do radnych i powiedział im, że wojsko jego wypocznie dni kilka w okolicach miasta, i że sam z kilkoma podkomendnymi i oddziałem straży honorowej, prowadzącym ujętych dowódzców nieprzyjacielskich, spieszy do Krakowa.

Następnie opuścił miasto.

Zaledwie Sobieski ze swymi towarzyszami oddalił się, gdy tłum rzucił się znowu na Czerwonego Sarafana, żądając, aby go zamurowano.

Radni tem chętniej ulegli temu życzeniu, że im samym nie bardzo się podobał rozkaz wodza Sobieskiego.

Czerwony Sarafan, został zatem już o zmroku nocnym zaprowadzony przez lud i oprawcę do klasztoru, gdzie murarze oczekiwali, ażeby dokonać przeznaczonej im roboty.

Nikt nie pomyślał o ocaleniu go.

Czerwony Sarafan padł na twarde kamienie niszy.

Przy świetle pochodni, murarze rozpoczęli swoją robotę. Zapełnili otwór wielkimi kamieniami ciosowymi, które spoili z sobą wapnem.

Coraz wyżej wznosił się mur, zamykający niszę. Nareszcie założono ostatni kamień.

Czerwony Sarafan, został pogrzebany żywcem.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Mordko obrabowany.

(Humoreska.)

Mordko Spiegelglas potrzebował sobie być kupiec na małe miasteczko niedaleko od głównego miasta Stanisławowa i handlował, jak to zwykle podobni handlarze — wszystkiem. U Mordka można było kupić kapelusz, sucharki angielskie, rękawiczki, mąkę, masło — a jedna strona jego sklepu, w przeciwieństwie do „korzennej“ nazywała się „bławatna“ — czyli, że sprzedawało się tam sukno, płótno, perkale i inne zleżałe wełny ku utrapieniu biednych „gości“...

Zdarzyło się pewnego razu, że siostrzeniec pana Mordka Leib Łapajówker od lat kilku jako subjekt większego żydowskiego magazynu w Łodzi przebywający, uwiadomił wujaszka o nastąpić mającej wielkiej wyprzedaży wybrakowanych towarów za bezcen. Złoty to był interes, bo Mordko hurtem niemodne i zleżałe zabierał towary, na czysto 180 procent na nich zarabiając. Spakował zatem i teraz małą walizkę, zamknął do niej troskliwie przez panią Mordkową przygotowane prowianty, t. j. ośm jaj na twardo z pół bochenkiem żytniego chleba, kupił bilet wprost do Łodzi i puścił się w podróż.

Prawdę mówiąc, żona nie chciała w żaden sposób tym razem dać mu trzydniowej separacji od stołu i interesu — bo właśnie gazety donosiły o ograbieniu jakiegoś kupca w pociągu kolejowym — ale szanowny obywatel Mordko za wiele widział przed sobą zysku z tego kupna i nie słuchał żadnych strachów, ani żadnych słów przestrogi. Noc przed podróżą nie spał, tylko z godzinę medytował na jakąś asekuracją, oczywiście bezpłatną — a co wydumał — zobaczymy w dalszym ciągu historji. Dość, że pojechał prawie bez trwogi, a nawet wesoło sobie uśmiechnięty.

Jadąc — przedewszystkiem starał się nie być sam w wagonie; kilkakrotnie przenosił swoją walizkę z półki na półkę, z jednego wagonu do drugiego — aż w końcu przecież jakoś przed nocą na którejś stacji wysiadły dwie żydówki z bachorami, a pan Spiegelglas pozostał w całym przedziale tylko w towarzystwie dwóch wesołych, średniego stanu i wieku jegomościów, ale i średnio podejrzanie wyglądających niby mieszczan czy rzemieślników...

Rozmowa zręcznie zagadywana przez naszego kupca nie dała mu należytego pojęcia ani kto są ci panowie, ani dokąd jadą. Pomimo to jednak i pomimo głowy bądź co bądź wyobraźnią rachunku nabitej — pan Mordko dziwnie szczerze wywnętrzył się przed współpasażerami z wszystkiemi swojemi interesami. Więc tedy powiedział im otwarcie, że jedzie do Łodzi po towary, że ma ze sobą kwotę ośmset złotych, którą da jako ewentualny zadatek czy też połowę należnej sumy — a co najdziwniejsze, w naiwności ducha wyjął z głębokiej kieszeni

pantalonów gruby, stary, zatłuszczony pugilares, pokazał go owym panom, a zawinąwszy w brudną i potarganą czerwoną chustkę do nosa, włożył go najnieostrożniej do wierzchniej kieszeni bekieszy.

— To jest cały mój majątek! — rzekł poczciwie zwierzając się towarzyszom.

— Nieszczególny pugilares! — zauważył jeden z nich.

— Możnaby z niego lampkę oliwy wycisnąć — dodał drugi, robiąc giest gniecenia.

— Co szkodzi? — bronił się uśmiechnięty Mordko. — Niech sobie będzie pugilares jaki chce paskudny, aby w nim pieniędzy byli ładny!

— I to prawda! — potwierdził pierwszy.

— Nieraz to się trafi paniczek jak hrabia, portmonetkę ma jak książę...

— A pieniędzy w niej jak dziad! — dokończył Mordko.

Uśmiali się wybornie. Wyższy z kompanów ciągnął dalej w tej materji:

— Żyd złotego potem za niego nie da!

— To jeszcze nic, że pieniędzy taki facet niema... Ale bo on i zegarek ma jakiś duble czy goldinowy!...

Śmiech wybuchnął na nowo... ale nasz Mordko już prawie był w domu! Skąd oni wiedzą, że panicz w pormonetce nie ma nic? Chyba, że mu tę portmonetkę ukradli!... Aha... i zegarek też!

O! trzeba być ostrożnym — powiedziałby sobie każdy z nas w podobnej sytuacji i schowałby pieniądze gdzie pod koszulę na piersi... Dziwna rzecz! Mordko, taki chuchem — on jeszcze raz pokazał szmatę, w której było ośmset złotych, schował ją w najprostszy sposób w oczach obydwóch pasażerów do wierzchniej kieszeni bekieszy z powrotem — i ułożył się do snu na ławce.

— A niech mnie panowie pilnują, to ja położę się trochę zadrzymać... U mnie sen taki mocny, że można do mnie z rewolwera wystrzylać, a jabym nie słyszał. Niech panowie łaskawie uważają.

— No, no! — uspokoił go wyższy jegomość — śpij pan zdrów, my pana okraść nie damy.

— Oj to, to! Dzińkuję panom... bo to człowiek bidny, a taki złodziej on jego zabira wszystko bez litości.

— Śpij pan, śpij! My sobie palimy papierosa.

Istotnie, pan Spiegelglas porzebował położyć się jak długi na ławce i nie minęło pięć minut — chrapał jak nieboszczka trąba jerychońska. Kto może wiedzieć, co tam śniło się prawowiernemu Izraelicie? Zapewne widział się z Gedeonem, czy Jozuem, czy Dawidem gromiącym Filistyny... bo od czasu do czasu przestawał chrapać, z pod kapelusza na bakier głowę mu okrywającego coś jakby półotwartem łypnął okiem, a spostrzegłszy odwróconych doń jegomościów — uśmiechnął się ironiczne...

Tymczasem między dwoma zaczęła się cicha a ożywiona rozmowa.

— Warto żyda obłupić...

— Pewno! Ma psiawiara o ośmset złotych za dużo.

— Czekaj... ja mu ulżę ciężaru.

— A jak się obudzi i narobi gwałtu?

— Przecież mówił, że śpi jak baran.

— Prawda!... Zresztą mamy już Tarnów niedaleko; żydzisko leży kieszenią do góry, wysmyknę mu pularesisko przed samą stacją i damy nura.

— Kapitalnie!

I cicho, ostrożnie przysunął się wyższy rzezimieszek do ławki, śpiącego żyda, który chrapał jak nienasmarowane koło chłopskiego wozu...

Chrr! chrr! fiuut! chrr! chrr! ha chrr!

Wsunąć dwa palce w kieszeń i wyciągnąć szmatę z pugilaresem — było dziełem trzech minut. Majster miał widocznie wprawę, bo żydek ani drgnął, chrapiąc dalej niemiłosiernie.

Dwaj towarzysze błyszczącemi od radości oczyma spojrzeli na siebie — zdobycz utonęła w kieszeni wyższego. Dziwna rzecz... bo i lewe oko pana Mordka Spiegelglasa łypnęło na sekundę; jakby leciutki uśmieszek, taki prawie niedostrzegalny mignął mu przez usta — koncert jednakże nie ustawał ani na chwilę...

Pociąg zatrzymał się na stacji — dwaj jegomościowie cicho jak koty wymknęli się z wagonu i nie oglądając się za siebie, czmychnęli schodami peronu w dół ku wejściu. Ani przypuszczali, że Mordko już siedział w oknie za pół rozwiniętą firanką i śmiał się, śmiał aż się za brzuch trzymał...

Poklepał się po tylnej kieszeni pantalonów, wyjął z niej porządny czarny pugilares, otworzył na chwilę, spojrzał na kupę banknotów 20 złotowych i schował je z powrotem do kieszeni.

Pociąg ruszył po kilku minutach dalej — dwaj rzezimieszki uradowani wybuchnęli śmiechem, patrząc za odchodzącym oświetlonym pociągiem i usiedli na ławce parku kolejowego przed Strusiną, żeby się łupem podzielić.

W mig wyjął jeden z nich zawiniątko, a gdy je otworzył, znalazł starą gazetę i nic więcej.

Tak to żyd nigdy się oszukać nie da.

Uczeni a życie pozagrobowe.

Wszystkie narody wszystkich czasów wierzyły zawsze w jakieś życie pozagrobowe, o którem miały mniej lub więcej mgliste wyobrażenia. Nawet ludy najniżej stojące. Jedynie różni mędrkowie, przyzwyczajeni do tego, że wszystko można lupą i wagą zbadać, w ciągu ostatnich wieków dostarczali licznych ateuszy. Znaleźli się wreszcie ludzie, którzy zaczęli rozdawać to... czego im brakło... to jest szerzyć swą niewiarę wśród szerokich mas. Z tej niewiary, która zrodziła się albo z zaślepionych umysłów — albo, co gorsze, ze zepsutej woli, która nie miała nic do zyskania w życiu przyszłem (chyba piekło!), a więc wolała, by wszystko tu się kończyło — i z woli robiła wiarę — wyrósł cały nowoczesny socjalizm i bolszewizm.

Ciekawą i pocieszającą jest rzeczą, że obecnie u uczonych zaznacza się bardzo silny zwrot. Uczeni zaczynają się nawracać. Dzieje się to w myśl powiedzenia pewnego myśliciela, że „połowa wiedzy prowadzi do szatana, a cała wiedza do Boga". W dużej mierze przyczyniły się do tego badania nad zjawiskami medjumicznemi, tj. zjawami różnych duchów i t. p. Do niedawna śmiano się z tego powszechnie, ale dziś nagół już różnych ciekawych faktów z tej dziedziny nie może odrzucić, kto się tem zajmował. Inna rzecz, że z tego t. zw. spirytyzmu wyrosły najróżniejsze sekty i praktyki „wywoływaczy" duchów, które często prowadziły do obłędu — a przynajmniej do rozstroju nerwowego. Dlatego też zakazał Kościół urządzanie takich seansów, które przeważnie wychodziły na kpiny z poważnych rzeczy. W każdym razie jednak niejeden materjalista zaczął się pod wpływem tych bardzo ciekawych zjwisk głębiej nad temi sprawami zastanawiać. Najważniejszą rzeczą jest jednak ogólny zwrot

do religji, do którego w dużej mierze przyczyniły się przeżycia wielkiej wojny.

Gdy niedawno londyńska gazeta „Daily News" (czytaj: dajly njus) rozpisała ankietę na temat: „Gdzie umarli przebywają?" i „Jak wygląda na drugim świecie?" — z 23 uczonych 20 wyraziło wiarę w przyszłe życie a tylko trzech okazało się materjalistami. Lat temu kilkanaście byłby wynik takiej ankiety zupełnie inny. Oczywiście na drugie pytanie, żaden człowiek odpowiedzi dać nie może, to też postawienie go nie miało sensu.

W każdym razie czasy się zmieniają. Oby tylko razem z wiarą przyszła i chęć i zdolność do urządzania sobie życia według jej przykazań.



Poradnik gospodarczy.

Jednym z warunków podwyższania plonów roślin, jest właściwe nawożenie gleby czy to nawozami naturalnemi czy sztucznemi. Często gospodarze źle dobierają nawozy sztuczne, lub dają je w nieodpowiedniej ilości i dlatego nawozy te nie odnoszą skutku takiego jak odpowiednio dobrane i zastosowane.

U nas rolnik często zapomina, że nawożenie roli ma być tylko środkiem pomocniczym, działającym bardzo dobrze, ale tylko na odpowiednio uprawnej roli, dlatego nigdy nie należy zaczynać gospodarkę wzorową od nawożenia nawozami naturalnemi lub sztucznemi, ale zacząć od racjonalnej uprawy roli. Nim zaczniemy dobrze rolę nawozić, należy oczyścić ją z chwastów, gdyż w przeciwnym razie chwasty na świeżo nawożonej roli wyrosną bujniej, zaś rolnik zamiast spodziewanego zysku, tylko stratę będzie miał. Pod nawóz należy odpowiednio przygotować rolę, aby nie była ani zanadto wilgotną, ani za suchą, mokrą rolę, kwaśną należy przedtem odwodnić przez odpowiednie meljorowanie, gdyż na polu mokrem, wilgotnem i kwaśnem nawóz działać nic nie może.

Jeżeli rolik nie dba o dobór nasienia zdrowego i niewyrodzonego, to mu najlepszy nawóz nie pomoże, gdyż roślinki wyrosłe z nieodpowiedniego siewu są słabe, chore i skłonne do uszkodzeń.

Nasiona należy również co kilka lat zmieniać, aby się nie wyradzały, gdyż tylko dobrze dobrane ziarno siewne daje obfite plony.

Ważną sprawą powiększającą silnie wydajność roli jest wapniowanie ziemi

Wapno nawozowe, użyte właściwie, przyczynia się do podniesienia ilości i jakości zbiorów.

Nigdy jednak wapniowanie roli w pierwszym roku nie daje nadzwyczajnych rezultatów, gdyż skutki wapniowania odczuwa się dopiero w latach następnych.

Pamiętać należy przy wapniowaniu, iż częste wapniowanie gleby bogaci obecnego posiadacza, zaś uboży następne pokolenia, gdyż przychodzi do zupełnego wycieńczenia gleby i do takiego zubożenia w środki pokarmowe, iż lata upłyną zanim rola wyda jaki taki zysk. Wapni się gleby obfite w pożywienie, gdyż dużo tego pożywienia roślin wskutek działania wapna pobudza się do szybszej czynności, iż wskutek czynności chemicznej nagromadzi się więcej i w krótszym czasie materjału pokarmowego, który rośliny zabiorą i wskutek tego wydadzą plon większy i dorodniejszy.

Brak wapna da się zauważyć pojawieniem się roślin, które wymagają gleby bezwapiennej, a więc babki, bratków, szczawiów, rdestów, tużyc i skrzypów. Gdy więc powyższe rośliny ukazują się w dużej ilości, to najlepszy znak, iż roli brak wapna, którego należy natychmiast dodać.

Dodajemy wapno jako margiel, lub wapno palone lub mielone.

Oznaką, iż gleba wapna nie potrzebuje, jest udawanie się roślin strączkowych i koniczyn.

Rośliny bez obecności wapna w glebie obejść się normalnie i rosnąć nie mogą, a przy małej ilości rozwój ich jest słaby, a plon minimalny.

Wapno wywiera wpływ na budowę silnych łodyg, na słodycz i zapach owoców — również barwa owoców zależy od wapna.

Wapnienie sadów chroni drzewa i krzewy od chorób. Owoce, wyrosłe na glebie zasobnej w wapno mają delikatną skórkę, są soczyste i słodsze od innych. Wapno działa na mszyce drzewne i na drzewach, gdzie ziema zawiera dużo wapna, nigdy się nie pojawiają.

Jan Matysik.

Stan kapłański.



Któż oceni stan kapłański,
Jego wzniosłe przeznaczenie?
Ksiądz to drugi Anioł Pański,
Gdy otrzyma wyświęcenie!

Ksiądz najlepszym pośrednikiem,
Gdy ofiarę Bogu składa,
Także gdy jest namiestnikiem
Chrystusowym, gdy spowiada.

Dobrzy ludzie go szanują,
Jako duszpasterza swego,
Bardzo także go miłują,
Bo Apostoł godzien tego.

Jest to przykazanie Boga,
By szanować Apostoła,
Bronić go od ręki wroga;
Zawsze słuchać praw Kościoła.

Kto jest Kościołowi wierny,
Jako chrześcijanin prawy,
Ten dla biednych miłosierny,
Nie przekracza norm ustawy.

Dominik Wawrz. Podbiał.

KRONIKA.

Od Redakcji. W następnym numerze „Roli" rozpoczniemy druk opowiadań p. t. „Podróż po dalekich krajach". Będzie to cykl opisów przecudnych widoków, o jakich u nas się nie śniło, zwyczajów i obyczajów ludów rozrzuconych po szerokim świecie, ich wierzeń religijnych, słowem to, co charakteryzuje mieszkańców Ameryki, Azji, Afryki i Australji, a co mało komu tutaj w Europie jest znane. Ponieważ wiemy, że samo słowo nie uzmysłowi tak Czytelnikowi opisywanej rzeczy, przeto postaraliśmy się o wielką ilość ilustracyj, które nasze opowiadania jeszcze uwypuklą i w pamięci utrwalą. Nie szczędziliśmy ani trudów, ani kosztów, lecz daliśmy zrobić ilustracje, które będziemy zamieszczać wraz z opisami. Mamy nadzieję, że nowy nasz cykl w zupełności Czytelników naszych zadowoli.

Tragiczna śmierć w nurtach Dniestru. Z Zaleszczyk nadeszła wiadomość, iż utonął bawiący tam na urlopie wypoczynkowym Ignacy Bielecki, naczelnik wydziału bezpieczeństwa wojewódzkiego. Naczelnik Bielecki używał przejażdżki kajakiem na rzece. W pewnej chwili łódka się przewróciła i Bielecki wpadł do wody. Nim rybacy zdołali pospieszyć z ratunkiem, Bielecki utonął.

Zajście w cerkwi. Onegdaj w cerkwi w Nowym Samborze odbywała się w czasie odpustu koronacja obrazu Matki Boskiej, na którą to uroczystość przybył także ks. biskup Kocyłowski ze Stanisławowa ze swoją świtą. W czasie nabożeństwa kazanie wygłosił ks. Kulczycki z Rudek. Ks. Kulczycki, rozpocząwszy kazanie, odrazu poruszył politykę, wychwalając ukraińską partję „Undo", przyczem począł apoteozować działalność jednego z ukraińskich adwokatów z Kołomyji. Zrażony tem biskup Kocyłowski, siedzący na swym biskupim tronie naprzeciw ambony, podniesionym głosem zawołał: „Otcze zlizajte!" lecz ks. Kulczycki zrazu na to nie zważał i dalej mówił. Wówczas ks. biskup podniósł się ze swego fotelu i donioślejszym głosem wezwał ks. Kulczyckiego do opuszczenia kazalnicy. Gdy ks. Kulczycki zeszedł, ks. biskup Kocyłowski zwrócił się do miejscowego proboszcza i polecił mu wejść na ambonę i dokończyć kazanie na temat miłości Matki Boskiej do wiernych. Zajście to w cerkwi wywołało wielkie poruszenie, a Ukraińcy wystąpienie swego ks. biskupa nazywają nietaktem. Jak twierdzą, apoteozowany przez ks. Kulczyckiego adwokat z Kołomyji jest osobistym wrogiem ks. biskupa z powodu wprowadzenia przez tegoż celibatu w stanisławowskiej dyecezji.

Pożar od pioruna. W czasie burzy uderzył piorun w domostwo Jana Malinowskiego w Skopowie. Skutki okazały się nader groźne, gdyż zabudowania stanęły w jednej chwili w płomieniach tak, że dom mieszkalny oraz budynki gospodarcze spłonęły doszczętnie wraz z martwym inwentarzem. Szkoda wynosi ponad 3.000 zł. Malinowski z rodziną pozostał bez dachu nad głową.

Tragiczna śmierć znachora. We wsi Hołubla ziemi siedleckiej nieznani sprawcy wymordowali całą rodzinę znanego w okolicy znachora, Józefa Jaglaka. Jaglak od szeregu już lat trudnił się leczeniem okolicznych mieszkańców i przepowiadał im przyszłość. Gdy pewnej grupie poszkodowanych oświadczył, że pieniądze i dobytek zabrali im sąsiedzi, i że niedługo będzie mógł wskazać nazwiska sprawców, po kilku dniach znaleziono znachora oraz czterech członków jego rodziny martwych. Zarąbano ich siekierą. Na piersiach znachora przyczepiona była szpilką kartka następującej treści: „już teraz nie będziesz mógł przepowiadać, co się będzie w przyszłości działo. Szkoda, żeś nie przepowiedział swojej śmierci". Są poszlaki, że morderstwa dokonali okoliczni rabusie, którzy bali się, aby znachor nie ujawnił ich zbrodni.

Bratobójcza walka. Wieś Hurko, pod Przemyślem, była widownią krwawej bitwy, która rozgorzała z błahego powodu. Gospodarz tamtejszy, niejaki Antoni Radwański, zirytowany szkodą w polu, wyrządzoną mu przez Michała Rusinkowskiego — spowodował walną rozprawę, w której wzięli czynny udział obaj powyżej wymienieni oraz Marja i Józef Radwański.



Podczas bójki, w której brały udział kosy, Antoni Radwański wymierzył straszliwy cios kosą, przeciw Rusinkowskiemu, przebijając nieszczęśliwego na wylot. Skutki czynu Radwańskiego okazały się tak groźne, że Rusinkowskiego, który obficie brocząc krwią, stracił przytomność, musiano przewieźć w groźnym stanie do szpitala w Przemyślu. Sprawców zaś odstawiono do sądu karnego.

Zdziczenie. Z Płocka donoszą: W miejscowości Słonim, 23 klm. od Płocka, dokonany został ohydny mord, który miał przebieg następujący. O godz. 7 rano na polach majoratu Słonim znana żebraczka 83-letnia M. Cieplak zbierała kłosy. W tym samym czasie przechodziła drogą ze swym 10-letnim synem niejaka Smardzewska, która od wielu lat cierpiała na manję prześladowczą, a w ostatnich czasach szczególną nienawiść odczuwała do Cieplakowej, uskarżając się, że Cieplakowa ją urzekła. Ujrzawszy Cieplakową Smardzewska zawołała: „Synecku, a bijze Cieplackę". Chłopiec, nie namyślając się wiele, zaczął rzucać w nią kamieniami. Jeden z kamieni ugodził nieszczęśliwą ofiarę bestjalskich instynktów w czoło. Cieplakowa, zalana krwią, runęła na ziemię. Wówczas młodociany morderca podbiegł do niej i zaczął ją bić kijem, matka zaś, uwiązawszy fartuchem Cieplakową za szyję, poczęła ciągnąć ją po ściernisku. Nadbiegli z pomocą okoliczni włościanie z trudem wyrwali ofiarę, dającą słabe oznaki życia rozszalałym mordercom. Wszelkie zabiegi i pomoc okazały się spóźnione. Staruszka zmarła.

„Leśny człowiek". Z Baranowicz donoszą: W czasie ćwiczeń wojskowych między wsiami Berezówką a Tartakami wysłany został do lasu patrol 22 pułku p. z podchorążym rezerwy Stanisławem Smulskim na czele. W skład patroli wchodzili nadto żołnierze Semeniuk i Masłowski. Gdy patrol wszedł kilka kilometrów w głąb lasu, natknął się na dość niedostępnej polanie na dziwne zjawisko. Na trawie w cieniu leżał jakiś kosmaty kłębek, podobny do człowieka, który spał, chcąc go obejrzeć z bliska; podch. Smulski pozostał nieco w tyle. Tajemniczy człowiek był całkowicie goły, porośnięty czarnym włosem, posiadał rudą po pas brodę i długie, nieobcinane widocznie wcale paznogcie u przednich i tylnych kończyn. Włosy na głowie były tak długie, że zakrywały całkowicie twarz i oczy. „Leśny człowiek"

przepasany był jedynie słomianym powrósłem. Nagle jeden z żołnierzy nieostrożnie nadepnął na gałąź. Dziwny człowiek ze zwierzęcą czujnością zerwał się i zaczął uciekać. Pogoń za nim w gąszczu okazała się bezowocną. Jak opowiadają mieszkańcy okoliczni, leśny człowiek rzadko daje się podejść i zauważyć ludziom. Miejscowi myśliwi mają zamiar w najbliższym czasie zorganizować walną obławę, celem pojmania osobliwego mieszkańca puszczy kresowej. Władze zaś bezpieczeństwa twierdzą, że ten tajemniczy człowiek jest bandytą poszukiwanym od roku 1920 przez policję. Po kilku latach ukrywania się bandyta zdziczał zupełnie i dostał ostrego ataku tak zwanej „antropofobji“, czyli obawy przed ludźmi.

Straszna tragedja matki. W jednym z mniejszych miast Austrji wydarzyła się w ostatnich dniach straszna tragedja. Oto w pobliżu dworca kolejowego znaleziono pewną kobietę, która leżała w zaroślach z poderżniętem gardłem. Obok niej leżało dwoje dzieci, które nie dawały znaku życia i miały również poderżnięte gardła. Powody tego straszliwego czynu są na razie nieznane. Przypuszczają jednak, że powstała tragedja ta na tle niedostatku i nieporozumień małżeńskich.

Nikt się jej nie pytał. W pewnej wiosce w Turyngji zaszedł podczas ślubu bardzo niemiły wypadek. Narzeczony i narzeczona stali już przed ołtarzem i ksiądz zadał im sakramentalne pytanie, czy chcą się wzajemnie poślubić. Narzeczony odpowiedział głośno tak, natomiast gdy przyszła kolej na narzeczoną, ta ostatnia rzekła „nie“. Oczywiście przerwano natychmiast ceremonję, a proboszcz zapytał narzeczoną, dlaczego stanęła przed ołtarzem, nie mając woli do małżeństwa, oraz dlaczego wcześniej tego nie powiedziała. Na to dziewczyna odparła całkiem spokojnie: „Dlatego, że ksiądz proboszcz jest pierwszą osobą, która mnie w tej sprawie pytała o zdanie“.

Wójt w kajdankach. W gminie Leutkirch w Niemczech sprowadziła gmina kilkanaście par kajdanków na ręce, mających służyć do skuwania pochwyconych złodziei, licznie w tej miejscowości reprezentowanych. Na posiedzeniu rady gminnej, wójt, będący inicjatorem zakupienia kajdan, zademonstrował je radnym dla wykazania ich sprawnego działania, polecił zakuć sobie ręce... Zakucie poszło gładko, ale w czasie otwierania kajdan złamal się kluczyk, którego część pozostała w otworze kłódki. Musiano zatem sprowadzić kowala, który długo się mozolił zanim rozpiłował żelazo. Biedny wójt ma teraz wielkie nieprzyjemności, gdyż ludność gminy szepcze, że był w tem „palec Boży“, który wskazał na wójta, jako na najbardziej godnego noszenia kajdanków.

Tragiczna śmierć francuskiego ministra. Francuski minister handlu Bokanowski, który od soboty bawił w Champigne, letniej rezydencji premjera Poincaré, w niedzielę 2 b. m. znalazł śmierć wskutek katastrofy lotniczej. Minister Bokanowski zamierzał udać się z Toul do Paryża, celem wzięcia udziału w zapowiedzianych tam imprezach lotniczych. Samolot pasażerski, którym leciał Bokanowski, prowadzony był przez jednego z najtęższych pilotów francuskich. Krótko po starcie na wysokości paruset metrów samolot stanął w płomieniach i runął na ziemię. Wszyscy pasażerowie spalili się na węgiel. Zwłoki Bokanowskiego rozpoznano po branzoletowym zegarku platynowym. W historji Francji jest to drugi wypadek śmierci ministra aktywnego wskutek katastrofy lotniczej. Mianowicie dnia 20 września 1911 r. francuski minister wojny Berteaux zabity został przez śmigło lądującego samolotu. Ówczesny premjer francuski Monis, stojący obok Berteaux na trybunie honorowej, został ciężko ranny. Bokanowski, jak wskazuje nazwisko, pochodził z rodziny polskiej; przodkowie jego byli Polakami, ale zmarły minister już zupełnie nie znał języka polskiego i uważał się za Francuza.

Byk w hotelu. Z St. Gilden donoszą: Rzeźnik Franz Engeljaehringer ze Strobl zakupił na jarmarku w pobliżu Salcburga dwuletniego byka i prowadził go do domu. Gdy przechodził przez miejscowość St. Gilgen, byk przestraszył się mijającego ich auta i w szalonych susach wpadł prosto w bramę najbliższego hotelu. W tem samem tempie pogonił na drugie piętro, demolując po drodze klatkę schodową i wreszcie dostał się do salonu niszcząc tam całe urządzenie. Pomiędzy gośćmi hotelowymi wybuchła panika. Wszyscy chcieli się wydostać na zewnątrz, ale ponieważ rozwścieczony byk wciąż galopował po hotelu, nikt nie odważył się wyjść schodami, tylko przez okna, do których przystawiono drabiny. Dopiero po długich wysiłkach udało się wyprowadzić byka z hotelu, który tymczasem zdążył wyrządzić tam ogromne szkody. Na gościńcu znów nie chciał się ruszyć z miejsca, a wyrwawszy się nagle z rąk, wpadł na oddział przechodzącego wojska.



Nie obeszło się bez poturbowania jednego z żołnierzy, ci jednak położyli kres jego wybrykom, został bowiem zakłuty bagnetami.

Hrabianka robotnicą. Córka znanego belgijskiego arystokraty, hrabianka d'Anvers opuściła przed kilku laty zamek rodzinny po burzliwej scenie z ojcem. Ponieważ wykształcenie jej było błyskotliwe, lecz mało gruntowne i nie dawało młodej dziewczynie możności zarobienia na chleb powszedni, hrabianka nie zawahała się przyjąć miejsca robotnicy w fabryce. Po pewnym czasie sprzykrzyło się jej to zajęcie. Hrabianka pomyślała sobie, że to niedorzeczność tak się przemęczać ciężką pracą, jeżeli się posiada bogatego ojca. Wystąpiła tedy ze skargą do sądu, żądając, aby ojciec wypłacał jej rentę miesięczną w kwocie 1.500 franków. Adwokatka, która zastępowała hrabiankę d'Anvers, ucieczkę swej klijentki uzasadniała tem, że młoda dziewczyna dość miała wiecznych pijatyk i polowań w domu rodzicielskim. Uważała, że arystokratka może także rozsądniej i pożyteczniej przepędzać czas. Ta motywacja znalazła zrozumienie u sędziego, który skazał pana hrabiego na wypłacanie córce stałej renty.

Wyorane pieniądze. Pewien kmiotek pod Belgradem, czytający gazety rolnicze, postanowił spróbować głębokiej orki, zalecanej przez agronomów. Wcześnie po zbiorach zaczął uprawiać ścierniska, przyczem orka dała plon natychmiastowy i zgoła nieoczekiwany. Mianowicie wyorał on około 4.500 monet złotych, srebrnych i miedzianych, pochodzących z trzeciego wieku po Chrystusie. Monety te zakupiło muzeum, kmiotek zaś orze dalej, gdyż skarb rozsiany jest po jego polu na większej przestrzeni. Dalsza orka przyniosła mu znów około

7.500 monet, pozatem zaś ustawicznie pod skibami znajdują się stare monety. Cała rodzina kmiotka porzuciła inne zajęcia, a natomiast rozkopuje ziemię i przesiewa ją przez palce. Sąsiedzi również rozpoczęli głęboką orkę, ale pieniędzy narazie żaden z nich jeszcze nie wyorał, trudy ich zaś wrócą się zapewne jedynie w postaci obfitych plonów. Na znalezionych monetach wybity jest z jednej strony wizerunek cesarza Aureljana i jego żony Severyny Augusty, na odwrotnej zaś znajduje się napis: „Oriens Augusti" i Apollo, u którego stóp leży niewolnik.

Na cześć boga-słońca. W tych dniach w Estonji na wyspie Ezel miał miejsce wypadek, który bardzo przypomniał czasy pogaństwa. Grupa włościan, dobrze podniecona, zacząwszy mówić o długiej, dżdżystej pogodzie, postanowiła ostatecznie przebłagać boga-słońce. W tym celu zdecydowano się złożyć bogowi w ofierze żywego człowieka, pewnego robotnika. Na skrzyżowaniu dróg, o północy, naniesiono suchych gałęzi i drzew i urządzono ognisko. Ofiarę związano i podniesiono nad niem. Następnie zapalono ognisko i ogień ofiarny na cześć boga-słońca zaczął się rozpalać. Przywiązany człowiek krzyczał i rzucał się, lecz bałwochwalcy ezelscy nie zwracali na to żadnej uwagi. Jednak ofierze udało się zwolnić ze sznurów i zbiec, gdyż pijani nie mogli go ścigać.

Powódź w Korei. Na całym północnym odcinku półwyspu koreańskiego szaleje olbrzymia powódź, spowodowana wylewem rzeki Tumeń. Rzeka ta jest granicą pomiędzy Syberją a Mandżurją. Według obliczeń gubernatora koreańskiego, dotychczas z górą 1.000 osób padło ofiarą powodzi. Lekko zbudowane chaty powódź znienacka porwała wraz mieszkańcami. Tylko małej części ludności udało się ujść zagładzie. Olbrzymie masy wody runęły z gór wysokości 2.000 metrów do dolin i zalały wszystkie drogi, ulice i połączenia kolejowe. Teren powodzi zupełnie jest odcięty od reszty świata. Szkody materjalne są olbrzymie, ponieważ całe żniwa zostały zniszczone. Sąsiadujące z północno-wschodnią Koreą części Syberji i Mandżurji także nawiedzone zostały powodzią. Szczegółów bliższych z tych terenów brak. Gubernator koreański oświadczył, że jest to najstraszniejsza powódź, jaka spotkała terytorjum koreańskie od dziesiątków lat.

Żona na raty. Wśród kandydatów do stanu małżeńskiego w Damaszku panuje wielkie zaniepokojenie. Według panującego tam od niepamiętnych czasów zwyczaju, obowiązany jest każdy mężczyzna, pragnący się ożenić, zapłacić za swą wybraną pewną sumę jej rodzicom. Tymczasem rada rodzicielska podniosła cenę za swój towar do takiej wysokości, że tylko bogaty mężczyzna w Damaszku mógł sobie pozwolić na kupienie żony. Co mieli robić wobec tego biedni, chętni do małżeństwa młodzieńcy? Ale i na to znalazła się rada. Wszak w Europie daleko cenniejsze rzeczy jak żony, bo meble, suknie i biżuterje kupuje się na raty. Po długich pertraktacjach zgodziła się strona przeciwna na ten rodzaj transakcji handlowej i obecnie w Damaszku można nabyć żonę na raty. Dla małżonka niezadowolonego z nabytej w ten sposób żony, jest jeszcze ta dogodność, że poprostu przestaje płacić raty a „towar" wraca do pierwotnego właściciela to jest do domu rodzicielskiego. Ale istnieje obawa, że wobec coraz częściej zdarzających się wypadków niewypłacalności, powróci dawny zwyczaj kupowania żony tylko za gotówkę.

Straszne prawo murzyńskie. W tych dniach toczyły się przed sądem w Buluwayo (Afryka południowa) sprawy karne przeciwko członkom plemienia murzyńskiego Matebelów, zabijających bliźnięta, zgodnie z okrutnem prawem obyczajowem, obowiązującem w tem plemieniu. Matebelowie wierzą święcie, że zabijanie noworodków niemowląt zapewnia dobre deszcze, tak potrzebne na ich terytorjum, gdzie przez większą część roku panuje susza. Tracenie nowonarodzonych niemowląt odbywa się przez duszenie ich powrósłem z trawy, poczem zwłoki umieszczone są w garnku i zatopione w rzece. W sprawach, które toczyły się w Buluwayo, oskarżeni o mordowanie niemowląt byli przeważnie nie rodzice, lecz dziadkowie, a w jednej sprawie... teściowa. Stawała przed sądem także matka, która wyznała szczerze, że powiwszy bliźnięta, nie karmiła ich wcale, gdyż byłoby to sprzeczne z prawem, panującem w jej plemieniu. Jedna ze spraw tyczyła się zabójstwa niemowląt, popełnionego przed kilku laty. Sędzia jednak oświadczył, że nie chce jej rozważać, gdyby bowiem i takie sprawy jeszcze były brane pod uwagę, to chyba połowa Matebelów musiałaby stanąć przed sądem. Na innych oskarżonych zapadły wyroki śmierci, sędzia wszakże zaznaczył, że wyroki te zapewne nie będą wykonane, choć bowiem oskarżeni dopuścili się, według pojęć europejskich, zbrodni okropnej, to jednak przyznawali się do niej otwarcie, twierdząc, że nie uważali za zbrodnię tego, co nakazuje im prawo, obowiązujące w ich plemieniu z dawien dawna.

Zemsta węża. O strasznym wypadku, krórego przyczyną był nierozumny zakład, donoszą z Dacca, angielskiej kolonji w Indjach. Jeden ze stacjonujących tam angielskich oficerów, mąż młodej, pięknej i bogatej kobiety, założył się ze swymi kolegami, że uzbrojony tylko w nóż myśliwski stanie do walki z olbrzymim wężem boa-dusicielem. Młody oficer był znany jako znakomity strzelec i myśliwy i dom jego upiększały skóry wielu tygrysów padłych od jego kuli i inne trofea, świadczące o niepospolitej odwadze. Około dwa tygodnie temu specjalnie wysłani na skutek zakładu krajowcy odnaleźli w dżungli olbrzymiego gada długości 8 metrów i porucznik w towarzystwie przewodników i kilku kolegów udał się na polowanie. Rzeczywiście odważny ten człowiek zakład wygrał i kolosalne cielsko węża rzucone zostało po kilku godzinach transportu na werandę domu, w którym zamieszkiwał oficer. W godzinę później nadeszła młoda żona a zobaczywszy martwego potwora, jęła czynić gorzkie wymówki swemu lekkomyślnemu mężowi. Około godziny 9 wieczór ordynans porucznika udał się na nocleg do koszar, a gdy nazajutrz rano powrócił, ujrzał straszny widok. Całe mieszkanie było zdemolowane. Wśród porozrzucanych połamanych mebli poniewierały się straszliwie zmiażdżone zwłoki oficera i jego żony. Nie umiano sobie wytłumaczyć przyczyny tej okropnej tragedji. Wieczorem zwłoki zmarłych ułożono na werandzie. Przy ubranej kwiatami trumnie pełnili honorową straż koledzy zmarłego. Nagle około północy jeden z oficerów usłyszał jakiś szum w ogrodzie, poczem straszny krzyk przerażenia rozdarł ciszę nocną. W tejże chwili śród nieopisanego łomotu poczęło się walić wszystko, co było na werandzie. Obie trumny zrzucone zostały z katafalku na ziemię, stół, na którym płonęły ubrane kwiatami gromnice, został wywrócony. Zapanował straszliwy popłoch i dopiero, gdy przyniesiono latarnie, obecni ku najwyższemu swemu przerażeniu dostrzegli olbrzymiego węża. Rozpoczęła się walka i wkrótce bestja padła martwa od licznych kul rewolwerowych. Zagadka wyjaśniła się. Zabity przez porucznika wąż był samcem i padł w czasie parzenia się. I oto samica, idąc za śladem jego włóczonego cielska, dotarła do domu porucznika i dokonała tam swej zemsty. Drugi jej napad zakończył się również tragiczną śmiercią jednego z oficerów, który obalony przez węża, padł na kamienny stopień werandy i zabił się na miejscu.

RZECZY CIEKAWE.

Ołtarze w kościele.

Od początku świata ludzie żyjący pod prawem natury, osobliwie Patrjarchowie Noe, Abraham, Jakób, wznosili ołtarze na górach lub w otwartem polu, dla składania całopalnych ofiar Bogu, na znak swej czci ku Niemu i uznania Jego nad sobą panowania. Te ich ołtarze były nasypami ziemi, lub z kamienia zrobione i nad powierzchnią znacznie wzniesione. Stąd z przyczyny swego wzniesienia od wyrazu łacińskiego „Altus", „wysoki", otrzymały nazwanie „Altare", „ołtarz".

Prawem Mojżesza Bóg zalecił Izraelitom w przybytku tylko czynić Mu ofiary, tudzież przepisał liczbę i kształt, jaki powinny mieć ołtarze do tych ofiar przeznaczone. Jeden był ołtarz do ofiar całopalnych, drugi do kadzenia, a trzeci do składania chlebów. Też same były ołtarze, gdy na miejsce przybytku Kościół w Jerozolimie wystawiony został.

Ołtarz w kościołach chrześcijańskich jest to stół podłużny, albo kwadratowy, na którym Msza św. się odprawuje. Dlatego mu taki kształt się daje, że Jezus Chrystus siedząc u stołu z swoimi uczniami, ustanowił ofiarę Mszy świętej i Najśw. Sakrament Ciała i Krwi swojej, który jest duchownym pokarmem wiernych, oraz że na tym stole też same Ciało i Krew Jezusa Chrystusa Bogu się ofiaruje; dla tej przyczyny zowie się on stołem świętym ofiarnym i błagalnym. Ołtarz chrześcijański przypomina jeszcze krzyż, na którym Chrystus Bogu Ojcu siebie ofiarował i śmierć męczeńską dla zbawienia ludzi poniósł.

Ołtarze w pierwszych trzech wiekach były drewniane i rozbierające się tak, że łatwo z jednego na drugie miejsce przenosić je można było. Od wieku IV, kiedy nastała wolność wyznawania religji chrześcijańskiej, zaczęto stawiać w kościołach ołtarze stałe z kamienia lub marmuru dlatego, że ołtarz wyraża Chrystusa, który w Piśmie Św. kamieniem węgielnym Kościoła się zowie.

Dawne ołtarze miały kształt skrzyni podłużnej, która na dwóch ścianach pobocznych się opierała i do grobowca podobną była. Składano w ołtarzach ciała męczenników; stąd pozostał zwyczaj wkładania relikwij świętych w ołtarzach teraźniejszych, co przypomina, jak niegdyś w czasie prześladowania Mszę św. w podziemiach, lochach, na grobach męczenników odprawiano. Ściany ołtarza przednia i tylna były otwarte, które bogatemi zasłonami zawieszano.

W pierwszych wiekach stawiano pospolicie w kościele jeden tylko ołtarz i to w środku presbiterjum, który tak urządzano, że kapłan Mszę odprawujący twarzą do ludu był obrócony; stąd dla pozdrowienia i błogosławieństwa ludu nie miał potrzeby się obracać. W wieku IV. większą liczbę ołtarzy stawiać zaczęto, zwłaszcza tam, gdzie przy kościele wielu znajdowało się kapłanów, z których każdy Mszę św. powinien był odprawować. Papież św. Grzegorz W. powiada, że za jego czasów, to jest pod koniec wieku VI. po dwanaście do piętnastu ołtarzy w kościołach liczono.

W Kościele greckim zawsze jeden ołtarz stawiano, ponieważ podług zwyczaju tego Kościoła w dniu jednym, jedna tylko Msza w tym samym kościele odprawowaną być może.

Od czasów kiedy postanowiono Mszę św. odprawować na ołtarzach stałych, kamiennych, od Biskupa poświęconych, weszły w użycie tak zwane ołtarze przenośne „Altaria Portatilia", czyli „Portatyle". Są to małe kamienne lub murowane tablice od Biskupa poświęcone, w których złożone są w środku ołtarza, gdzie w czasie Mszy Hostja i kielich się stawia. Zastępują one stałe kamienne ołtarze, w tych kościołach, gdzie ich niema i bez takich Portatylów Msza św. odprawowaną być nie może na ołtarzach, które nie są konsekrowane od Biskupa.

W Kościele greckim od dawnych czasów, zamiast tablic kamiennych, na ołtarze przenośne używają się poświęcone obrusy z płótna zwane „Antimensia", które się na ołtarzach niepoświęconych rozściełają, kiedy Najświętsza Ofiara ma się odprawować.

Szklany wąż.

Dziwaczne legendy splatają się często z życiem i obyczajami pewnych zwierząt, których bliższą znajomość utrudnia obserwatorowi tryb bytowania tych stworzeń, krycie się ich przed wzrokiem ludzkim. Taka legenda związana jest z t. zw. wężem szklanym, któremu gadki ludowe przypisują zdolność łamania się w razie niebezpieczeństwa na kilka części, zrastających się potem samoistnie. Rzeczywistość wygląda oczywiście zupełnie inaczej. De facto ów wąż szklany, t. zw. ophisaurus, nie jest wężem, lecz odmianą jaszczurki pozbawionej łapek. Tym właśnie brakiem odnóży upodabnia się ophisaurus do węża, aczkolwiek różni się on odeń szczątkowemi kośćmi, tkwiącemi między mięśniami. Łuski tej jaszczurki są bardzo drobne, łączące się ze sobą. Od węża różni się zresztą ophisaurus przy bliższem poznaniu obecnością powiek, których żadna odmiana węża nie posiada.

A teraz jak się przedstawia owa legendarna i cudowna zdolność rozłamywania się na kilka kawałków?

Ophisaurus prześladowany, goniony przez kaczkę, kurę, gęś — ucieka i szuka schronienia w załamach kamieni, pod murami, w gęstej trawie. Ale, że jego prześladowcy biegają szybciej niż on, przeto szanse ratunku byłyby dla jaszczurki — węża znikome, gdyby nie mądra przezorność natury. Naciskany, goniony zbliska, wąż — jaszczurka może, wskutek gwałtownego skurczu mięśni, odłączyć zupełnie, odrzucić od siebie ogon. Ogonek ten wije się i rzuca jeszcze przez czas pewien i łudzi tem prześladowców, którzy rzucają się nań i dziobią. Korzystając z odwrócenia ich uwagi i przerwy w gonitwie, jaszczurka kryje się tymczasem w bezpiecznem schronisku.

Na miejscu odłączonego ogona odrasta wkrótce nowy, ale, rzecz ciekawa, ma on zawsze inną formę i barwę, niż jego poprzednik. Pierwszy ogon był długi — wynosił dwie długości całego korpusu — cienki i tej samej barwy co całe ciało, oliwkowo-żółtawy. Nowy ogon jest zawsze krótszy, grubszy, inny w kolorze, niż reszta korpusu.

Natomiast, co się sprzeciwia legendzie, jeśli ciało jeszczurki — węża ulegnie złamaniu — zdycha ona. Ale, i to jest jeszcze jeden ciekawy szczegół, wystarczy zlekka skaleczyć ogon ophisaurusa, aby z miejsca skaleczonego wyrósł nowy ogonek; tak, iż czasem ophisaurus biega z oryginalnym, podwójnym, rozszczepionym ogonem.

Ophisaurus należy do nieszkodliwych zupełnie stworzeń, wbrew temu, co przypisują mu legendy i gadki ludowe.

Długość kiszek.

Ciekawą jest rzeczą, że długość kiszek u różnych stworzeń jest rozmaitą, a zależy od jakości pokarmu. Np. stworzenia odżywiające się cudzą krwią, więc pokarmem pożywczym i łatwostrawnym, mają kiszki bardzo krótkie, najwyżej 3 razy tak długie jak ich ciało. Człowiek, jedzący pokarmy mieszane, ma już kiszki 6 razy dłuższe, jak ciało. Najdłuższe zaś kiszki mają stworzenia roślinożercze (pokarm trudnostrawny), bo kilkanaście razy tak długie, jak ciało. Kiszki np. owiec są 28 razy dłuższe od ich ciała.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. Józef **Kapuściński** w L.: Nadesłane wierszyki zupełnie dobre, kiedy jednak pójdą, trudno nam oznaczyć, gdyż mamy tekę zapchaną wierszami. — Dominik **Bielak** w Ch.: Zagadki dobre, ale tak drobniutko napisane, że drukarz oczyby sobie popsuł, nimby je poskładał. — Jan **Pelczar** w W.: Otrzymaliśmy — dzięki. — Jan **Bylica** w W.: Wierszyk dobry. — Edward **Cygan:** Zamieścimy. — Jan **Biernat** w R.: W sprawie szczepków i zrazów niech Pan się zwróci do firmy L. Freege, Kraków, Sukiennice 22. Jest solidna firma. Za uznanie dla „Roli" dziękujemy, a i Maciek także. Jan **Bieroński** w Szcz.: Za przysługę dziękujemy i prosimy nadal o pamięć. Obecnie nadchodzą dłuższe wieczory, to trudności w jednaniu prenumeratorów nie zachodzą. Załączamy pozdrowienia.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 7 września b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·58 zł.	Jałownik	od 0·93 do 1·60 zł.
Woły . .	od 1·15 do 1·72 zł.	Cielęta .	od 1·54 do 2·50 zł.
Krowy .	od 0·71 do 1·50 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·12 do 2·45 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do3.18

Wszyscy nowi Prenumeratorzy chcący mieć całość znajdujących się w numerze powieści mogą nabyć wszystkie numera „Roli" od półrocza z początkami tychże powieści. Należytość można nadsyłać znaczkami pocztowemi. Kupujący „Rolę" w agencjach mogą je zamawiać przez agencje.

Zagadki do nagrody.

4. Logogryf.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

□ ☆ ☆ ■ ☆ Zwolennik.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto polskie.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Gubi, inaczej.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Zespół głosów (pr. drugi), [wspak.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Ptak.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Zbity śnieg.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Pisarz obcy.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Pisarz polski.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Ustalona cena.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto włoskie.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Drzewa liściaste.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Imię męskie.
□ ☆ ☆ ■ ☆ Odznaka, wspak.

Litery zamiast kwadracików białych, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko malarza polskiego. Zamiast kwadracików czarnych, czytane z góry na dół dadzą jego dzieło.

2. Szarady.

I.

(Ułożył J. Kopacz z S.).

Pierwszy wspak, tu na ziemi,
Nie będzie między grzesznymi,
W górach znajdziesz pierwszy,
Drugie trzecie najlepiej na liście,
Jak co macie, to wynieście.
Na całość w każdem mieście.

II.

Pół pierwszego trzecie,
Mamy w głowie przecie,
Pierwszych drugich swoich
Stara matka tak pilnuje,
Iż w obronie ich życia
I oczy wykłuje.
W gnieździe sobie całość siedzi,
Nad niczem głowy nie biedzi.

III.

(Ułożył W Ptasiński z B.).

Pierwsza druga z monarchami jedzie,
Zwierzęta domowe są pierwsze trzecie,
Dużo w sklepie nakupicie
Jeżeli jest drugie trzecie.
Całość mamy tuż przed ranem
Ze śpiewaniem ptaszków czasem.

3. Układanki.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

I.

A, a, a, b, b, k, k, ł, ł, o, o, m, m, y, y.

II.

A, a, b, b, o, o, o, s, s.

Z podanych liter ułożyć dwa zdania, aby czytane wprost i wspak brzmiały jednakowo.

4. Łamigłówki.

(Ułożył „Yoga" z K.).

Przez — j — kryjówką jest zwierza.
Przez — m — syna uczy pacierza.

Przez — k — strojem bywa flaszki
Przez — w — od deszczu chłopców kryje czaszki.

Przez — j — Polski oznacza bitwę,
Przez — l — Rosję rzeźbi a nie Litwę.

Przez — k — u sztucera posiadamy
Przez — t — bezbożnikiem w Polsce zwany.

Przez — b — w świeżej nas dręczy ranie,
Przez — s — kupują do kuchni panie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 22 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 36 „Roli": 1. Łamigłówka: Lot nad Atlantykiem. 2. Szarady: I. Szarawary. II. Słowianie. III. Kalina. IV. Polityka. 3. Zagadki: I. Korabbarok. II. Kossak. III. Grom-morg. IV. Lin-Nil. 4. Bilety wizytowe: księgarz, aptekarz, profesor.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Stanisław Porębski z K., Ks. Maciej Suchodolski z T., Ks. Franciszek Nawara, z K., Aleksander Gwóźdź z L., Feliks Popielarczyk z S., Jan Gara z W., Franciszek Pukas z S., Józef Gasiński z B., Alfons Czader z S. W., Franciszek Mrozek z T., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Marjan Walas z K., N. Guzik z K., Michał Więcław z N., Leon Milewski z W., Wojciech Zieliński z D., Dominik Bielak z Ch., Piotr Wenc z S., Tomasz Tiszler z S. S., Wincenty Flis z L., Wojciech Ciepiela z B., Jakób Jeziorański z K., T. Kwerka z W., Zofja Boroniówna z P., I. Zajączkowski z S., Ktoś z Zelowa (podpis nieczytelny), Gabrjel Wirstnik z Szcz., A. Liebeskind z K., Włodzimierz Szwabowicz z K., L. Lauge z W.

Nagrody wylosowali pp.: Wincenty Flis z L. i Ks. Franciszek Nawara z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Niech nawet płacze!...

Żyd, właściciel niedawno nabytego majątku ziemskiego:

— Panie ekonomie, każ pan zabić tę największą świnię.

Ekonom: Ależ, panie dziedzicu, ona będzie się prosić.

Właściciel: Nie szkodzi. Niech prosi, niech nawet płacze, każcie ją zabić.

Choć niektórzy dowodzą, że bogactwo nie przynosi szczęścia, to jednak każdy z ans chciałby zaryzykować próbę.

Hierarchja.

Pułkownik: — Ożenię się, ale będę panem w domu, nie będę chodził na paluszakach.

Generał (z uśmiechem): — Tak... zdjąwszy uprzednio buciki, aby jej nie obudzić...

Dlaczego.

Reporter: „Jak się to stało, że pan dożył tak sędziwego wieku?"

Stuletni starzec: „To proste. W pierwszych 75 latach nie było jeszcze samochodów, a przez ostatnie 25 lat nie mogłem już wychodzić z domu".

Roztargnienie.

Młoda Amerykanka, była studentka uniwersytetu, spotyka swego dawnego profesora, którego roztargnienie stało się przysłowiowem.

— Czy nie przypomina pan mnie sobie, profesorze? — rzecze do zadumanego filozofa. — Prosił mnie pan kiedyś, abym została jego żoną.

— Oh tak! — odpowiada profesor, budząc się z zamyślenia. — I... czy została nią pani?

Dlaczego?...

— Co, przyjacielu, sześć tygodni leżałeś w łóżku? Musiała to być strasznie poważna choroba?

— Choroba była zwyczajna, tylko leczył mnie pewien wybitny lekarz....

Giełda płodów rolniczych

z dnia 31 sierpnia b. r.

Pszenica .	47·00—48·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	36·50—37·50	Ziemniaki stoł.	12·00—13·00
Owies . .	36·00—37·00	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	34·50—35·50		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	55·00—56·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	80·00—81·00
Siano słodk.	24·00—26·00	Otręby pszen.	28·00—29·00
Koniczpastew.	32·00—34·00	Mąka czerw.	33·00—34·00